

Korespondencje

DZIESIĘCIOLECIE STARAŃ O UPOWSZECHNIENIE WIEDZY O HISTORII I KULTURZE ZIEMI WARMIŃSKO-MAZURSKIEJ

W roku bieżącym mija dziesięć lat od posiedzenia Rady Naukowej przy Ministerstwie Ziemi Odzyskanych w Krakowie, na którym miałem możność wygłosić referat na temat stosunków w dziedzinie rozwoju i upowszechnienia kultury na Ziemiach Odzyskanych. Łudziliśmy się wówczas, że przedyskutowane i uchwalone przez Radę wnioski posłużą rządowi, a szczególnie Ministerstwu Ziemi Odzyskanych do opracowania projektów ustaw i wydania rozporządzeń, których wykonawcami staną się odpowiednie organa władzy ludowej na Ziemiach Odzyskanych. Jeden z ustępów mego referatu obejmował sprawy świadomości narodowej odzyskanej ludności i kończył się jak i inne kilku wnioskami. Ponieważ rzuca on pewne światło na stan dzisiejszy tych spraw, przeto pozwolę sobie przytoczyć ustęp ten w całości:

„Świadomość narodowa jest na Ziemiach Odzyskanych z reguły nie tylko u większości ludności osiadłej, ale i napływowej stosunkowo bardzo mała. Świadomość ta jest najniższego stopnia, opiera się bowiem głównie na wspólnocie językowej, wyznaniowej i pochodzenia z tego samego regionu.

Wśród ludności napływowej najcenniejszym elementem jest ludność kresowa, szczególnie Wilnianie — wśród ludności osiadłej działacze polskich organizacji i członkowie b. Związku Polaków w Niemczech. Kompletna nieznajomość przeszłości historycznej i społeczno-kulturalnej Ziemi Odzyskanych przez ludność napływową wyrządziła już bardzo wiele szkód narodowi i państwu polskiemu.

Na początku cała ludność Ziemi Odzyskanych potraktowana została jako Niemcy, a Ziemia Odzyskana jako teren zdobyczny, który należało jak najprędzej i gruntownie złupić. Wysłano więc za Odrę i Łabę nie tylko Niemców, ale i Polaków, nieraz zasłużonych bojowników o sprawę polską — bardzo często dlatego tylko, że w ten sposób można było wejść w posiadanie lepszego gospodarstwa, czy chociażby krowy albo konia. W półtora roku później wpadliśmy znowu w przeciwną krańcowość. Zaczęliśmy traktować całą ludność Ziemi Odzyskanych jako Polaków. Następuje więc powrotna fala repatriantów zza Odry, wśród których znaleźli się również byli wysiedleńcy z Polski. Powstają krwawe konflikty, czasem nawet zabójstwa.

Ten stan rzeczy spowodował tragiczne załamanie psychiczne u bardzo wielu Polaków, którzy w początkowej fazie razem z Niemcami odplynęli za Odrę, czy też będąc traktowani jako Niemcy zostali w kraju. Podobne załamanie nastąpiło u repatriantów ze Wschodu (zza Bugu) którzy obecnie opuszczają muszą zagospodarowane przez siebie obiekty, ażeby je oddać często nie znającym języka polskiego repatriantom z Niemiec, a więc w ich mniemaniu Niemcom.

Analizując wypadki na Ziemiach Odzyskanych po r. 1945, można by zaryzykować twierdzenie, że z powodu nieprzygotowania i nieuświadomienia zarówno elementu przesiedleńczego, jak i reprezentantów administracji państwowej i samorządowej, wyrządziłmsi polskości na Ziemiach Odzyskanych więcej szkody, aniżeli zdołaliby to zrobić Niemcy w takim samym okresie swoich rządów.

Ponieważ rozwiązanie zagadnienia repolonizacji na Ziemiach Odzyskanych leży całkowicie w rękach ludności na te ziemie przybyłej, przeto uważam za konieczne:

Wniosek 1.

Repatriantów i przesiedleńców zamieszkałych na terenach ludnościowo mieszanym należy uświadomić co do ich roli i odpowiedzialności nie tylko za zagospodarowanie tych ziem, ale i za całkowite ich zrepolonizowanie. W tym celu uważam za wskazane jak najszybsze wydanie albo cyklu popularnych i tanich broszurek, albo jednej zbiorowej pracy na temat:

Co każdy Polak o Ziemi Odzyskanej wiedzieć powinien?

Wniosek 2.

Drogą specjalnych kursów ziemioznawczych należy przeprowadzić gruntowne zapoznanie przesiedleńców i repatriantów ze Wschodu z przeszłością historyczną Ziemi Odzyskanych — ze zwyczajami, obyczajami i psychiką ludności osiadłej.

Wniosek 3.

Zdanie egzaminu ze znajomości tej problematyki Ziemi Odzyskanych — a co najmniej własnego regionu, na podstawie kursu ziemioznawczego, względnie odpowiedniej literatury — należy uczynić warunkiem prawa do pracy i osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych.

Wnioski powyższe zostały bez zmian przyjęte przez Radę. A jak przedstawia się ich realizacja? Na to pytanie każdy mieszkaniec naszych ziem zachodnich i północnych sam sobie łatwo odpowie. Na podstawie dostępnej mi znajomości stosunków na Ziemiach Odzyskanych w okresie ostatniego dziesięciolecia i obserwacji stosunków, jakie do r. 1957 panowały na Warmii i Mazurach, stwierdzić mogę, że wnioski te są nadal w całości aktualne. W okresie minionego dziesięciolecia nie zaszło nic takiego, co by upoważniło mnie do zmiany chociażby jednego z nich, czy zmodyfikowania jego treści. Być może, że za rok lub dwa, kiedy reszta Warmiaków i Mazurów opuści ziemię ojców i własną ojczyznę, wnioski te staną się już dla tego regionu nieaktualne. Obecnie nie jest jeszcze za późno na ich realizację.

Przypomnienie tych trosk naszych i zmarłych z lat 1945—47 jest, wydaje mi się, jak najbardziej aktualne. Po „Październiku” bowiem zaistniały w Polsce warunki do wyciągnięcia nauki z doświadczeń oraz wprzęgnięcia ludzi odpowiednio przygotowanych do pracy nad odbudową naszego życia społeczno-kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych. Powołane do życia Komisje dla Spraw Rozwoju Ziemi Zachodnich — rządowa i sejmowa — będą dysponowały nie tylko znajomością zagadnień, ale i możliwością realizowania powziętych postanowień. Inaczej, niestety, było na początku — w chwili obejmowania przez Polskę w posiadanie Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego i Gdańskiego, Powiśla, Warmii i Mazur.

Nie znam ani jednego wypadku, ażeby jakkolwiek organ władzy centralnej próbował realizować wymienione wnioski Rady Naukowej przy Min. Ziemi Odzyskanych. Chlubny wyjątek stanowi tylko Ministerstwo Oświaty, które już w r. 1945 podjęło taką akcję na Ziemiach Odzyskanych. Inicjatorem tej akcji było szybko później zwinęte Biuro Ziemi Odzyskanych przy Ministerstwie Oświaty, a szczególnie pracująca w nim garstka entuzjastów nowej Polski z dyr. Pollakiem na czele. Zanim jednak Biuro uległo likwidacji, zdołało zainicjować kilka kursów dla pracowników oświatowych na Ziemiach Odzyskanych w celu zapoznania ich z problematyką poszczególnych regionów.

Pierwszy taki kurs, zorganizowany przez Instytut Zachodni, odbył się w czasie od 25 XI do 3 XII 1945 r. w Osiecznej. Tematyka obejmowała w poszczególnych dniach następujące zagadnienia:

- 26 XI 1. Zarys ogólny geografii Ziemi Odzyskanych na tle systemu geograficznego Polski.
2. Grupy etniczne polskie na Ziemiach Odzyskanych. Relikty kultury duchowej i materialnej.

Popołudniowe seminarium dyskusyjne miało za temat: 3. Regionalizm a poczucie narodowe.

- 27 XI 4. Szczegółowa geografia Śląska, Ziemi Lubuskiej i Pomorza.
5. Seminaryjne omówienie dotychczasowych wydawnictw map Ziem Zachodnich, oraz obudowa życia gospodarczego Śląska.
- 28 XI 6. Geografia szczegółowa Wybrzeża.
7. Imiennictwo polskie na Ziemiach Odzyskanych.
8. Polska Zachodnia w literaturze polskiej.
9. Seminarium poświęcone było omówieniu stanu obecnego w zakresie nazw polskich.
- 29 XI 10. Kultura wczesnohistoryczna Ziem Zachodnich.
11. Rola Ziem Zachodnich w dobie tworzenia się państwa polskiego.
12. Na seminarium uczestnicy kursu zapoznali się z tekstami źródłowymi o polskości Ziem Odzyskanych.
- 30 XI 13. Walka o Bałtyk w dziejach Polski.
14. Jak zgermanizowano Ziemię Zachodnie.
15. Zabytki polskie na Ziemiach Zachodnich oraz ich ochrona.
16. Pojemność ludnościowa Ziem Zachodnich.
- 1 XII 17. Akcja migracyjna na zachód.
18. Repatrianci wschodni jako element kolonizacyjny na zachodzie.
19. Rola Ziem Odzyskanych w życiu Polski dziś i jutro.
20. Na seminarium rozpatrywano charakterystykę typów osiedleńczych, oraz zachowanie się ludności niemieckiej na Ziemiach Zachodnich.
- 2 XII 21. Zagadnienia gospodarcze i osadnicze rolnictwa na Ziemiach Zachodnich.
22. Zagadnienia przemysłu, handlu i rzemiosła oraz osadnictwa miejskiego na Ziemiach Zachodnich.

Drugi taki kurs ziemioznawczy zorganizował na zlecenie Ministerstwa Oświaty Instytut Śląski w Bytomiu. Program tego pierwszego spotkania pracowników oświatowych odzyskanego Śląska przewidywał:

1. Zarys ogólny geografii Ziem Odzyskanych na tle systemu geografii Polski (1 godzina)
2. Grupy etniczne polskie na Ziemiach Odzyskanych (1 g.)
3. Zarys pradziejów i kultury wczesnohistorycznej Ziem Zachodnich (1 g.)
4. Propaganda niemiecka i autochtonizm słowiańsko-polski Ziem Zachodnich (1g.)
5. Imiennictwo polskie na Ziemiach Odzyskanych (1 g.)
6. Rola Ziem Zachodnich w tworzeniu się państwa polskiego za pierwszych Piastów ze szczególnym uwzględnieniem Śląska (1 g.)
7. Polskość Śląska w perspektywie dziejowej (2 g.)
8. Zabytki kultury duchowej i materialnej na Śląsku Opolskim oraz zagadnienia ich ochrony (2 g.)
9. Przemiany ludnościowe Śląska Górnego w wieku XIX i XX (1 g.)
10. Polska literatura Śląska (2 g.)
11. Kultura ludowa Śląska (1 g.)
12. Struktura gospodarcza Śląska Opolskiego (2 g.)
13. Śląsk Górny w okresie hitlerowskim (2 g.)
14. Pojemność ludnościowa Ziem Zachodnich (1 g.)
15. Obecne zmiany ludnościowe na Śląsku Górnym (2 g.)
16. Repatrianci jako element kolonizacyjny na zachodzie (1 g.)
17. Rola Ziem Odzyskanych w życiu Polski dziś i jutro (2 g.)
18. Właściwa postawa pracownika oświatowego na Ziemiach Odzyskanych (1 g.)
19. Rola szkoły na Śląsku Opolskim (2 g.)
20. Problem współpracy szkoły z czynnikami administracyjnymi (1 g.)
21. Metody nauczania języka polskiego (w odniesieniu do autochtonów) (2 g.)
22. Literatura odnosząca się do Ziem Odzyskanych (2 g.)

Pierwsze spotkanie pracowników oświatowych Warmii i Mazur zorganizowane zostało przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego w Olsztynie w dniach

19—25 lutego 1946 r. jako tzw. „Kurs Mazuroznawczy”. Kurs ten, na który obok pracowników oświatowych Olsztyna delegowani zostali nauczyciele (podobnie jak i na poprzednio wymienionych kursach), wybrani po 2 z każdego powiatu, przebiegał według następującego rozkładu dnia:

- W dniu otwarcia kursu (19 II 1946) odbyły się wykłady na temat:
1. Dowody wspólnoty kulturalnej Ziem Odzyskanych w okresie przedhistorycznym.
 2. Okres wczesnohistoryczny i rola Zakonu.
 3. Zarys geografii Ziem Odzyskanych.
 4. Seminarium dyskusyjne na temat: Metody germanizacji, chrzty pruskie, stan obecny w zakresie nazw.
- 20 II
5. Polskość Ziem Odzyskanych w perspektywie dziejowej.
 6. Stosunki wyznaniowe na Pomorzu Wschodnim.
 7. Zabytki kultury duchowej i materialnej oraz zagadnienie ich ochrony.
 8. Plebiscyt 1920 r.
- 21 II
9. Struktura gospodarcza Ziem Odzyskanych.
 10. Zagadnienia rozwoju gospodarczego Ziem Odzyskanych.
 11. Zarys geografii Okręgu Mazurskiego.
 12. Zagadnienia Ziem Odzyskanych w literaturze polskiej.
 13. Wieczór dyskusyjny na temat: Regionalizm jako czynnik wspólnoty narodowej.
- 22 II
14. Kultura regionalna jako składnik kultury narodowej.
 15. Mazurska kultura ludowa jako składnik kultury ogólnopolskiej.
 16. Sztuka ludowa mazursko-warمیńska.
 17. Kultura regionalna Północnego Mazowsza.
 18. Metody i środki działania w tworzeniu wspólnoty kulturalnej Północnego Mazowsza.
- 23 II
- Dzień ten przeznaczony był na zapoznanie uczestników kursu z najistotniejszymi problemami walki o polskość na Ziemiach Odzyskanych na tle całokształtu walki Polaków w Niemczech i obejmował tematy:
19. Walkę o język.
 20. Walkę o prawo do życia politycznego.
 21. Walkę o prawo do życia gospodarczego.
 22. Walkę o prawo do życia kulturalnego.
 23. Metody i środki działania w tworzeniu się nowej społeczności na Ziemiach Odzyskanych.
- 24 II
- Przedostatni dzień kursu przewidziany został na wycieczkę uczestników kursu do Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach pod Pasymiem, w pow. Szczytno. Kursiści mieli możliwość zapoznania się tam praktycznie z pracą repolonizacyjną, przedyskutowania pewnych problemów ludnościowych ze słuchaczami uczelni i wymiany doświadczeń z gronem nauczycielskim.
- 25 II
- Ostatni dzień kursu przeznaczony został na podsumowanie osiągnięć kursu oraz omówieniu zagadnień:
24. Rola Ziem Odzyskanych dziś i jutro.
 25. Repatriacja i rola repatriantów jako elementu osadniczego.
 26. Cele i zadania pracy oświatowej na Ziemiach Odzyskanych.
 27. Postawa pracownika oświatowego na Ziemiach Odzyskanych.

Wszyscy uczestnicy kursu otrzymali obszernie tezy wygłoszonych referatów, przygotowane przez prelegentów i powielone przez administrację kursu. Kurs zakończony został „Wieczorem kultury warمیńskiej”, podczas którego uczestnicy mieli możliwość zetknięcia się z młodzieżą warمیńską, jak również z członkami b. Zw. Polaków w Niemczech, działaczami plebiscytowymi i bojownikami o polskość ziemi warمیńsko-mazurskiej w latach hitlerowskiego ucisku.

Interesujące może być również spojrzenie po 10 latach na listę prelegentów. Niełatwo ją było wówczas zestawić. Olsztyn jako miasto materialnie mało atrakcyjne

przyciągnęło w r. 1945 tylko garstkę twórczej inteligencji polskiej, która osiedliła się tam z pobudek ideowych. Inteligencja ta mogła odegrać tylko rolę sygnalizatora niebezpieczeństwa i pogotowia ratunkowego na bardzo wąskim odcinku życia. Była ona zbyt słaba liczebnie, żeby powstrzymać falę zła, która w latach 1945—56 zalewała nieustannie Warmię i Mazury, niszcząc wartości przechowane tu przez pokolenia i odpychając odzyskanych braci, którzy inaczej wyobrażali sobie powrót w granice Polski, wyidealizowanej w marzeniach i taką przekazywanej w przepowiedniach z pokolenia na pokolenie.

Przyjmując słuszną zasadę oparcia kursu na prelegentach miejscowych, nie trudno było wyszukać ich i powierzyć niełatwe zadanie uświadomienia wybranych nauczycieli w najtrudniejszych zagadnieniach regionu i odpowiedzialnych zadaniach, jakie ich czekają. Najlepszy skład prelegentów, jaki wówczas udało się zestawić, objął, poza przyjezdnymi z Poznania prof. Kostrzewskim i drem A. Chętnikiem, następujących miejscowych działaczy: Jan Boenigk, dr Wł. Gębik, inż. Grabowski, Gustaw Leyding, prof. Jadwiga Lindner, Karol Małek, prof. Osipow, dr Z. Pawłowska, Wanda Pieniężna, Kaz. Pietrzak-Pawłowski, inż. Roloff, Hier. Skurpski, Paweł Sowa, Emilia Sukertowa-Biedrawina, dr Szymański, J. Wach i Maria Zientarówna.

Patrząc dziś na tę listę nie mogę pominąć milczeniem faktu, że w ciągu minionych jedenastu lat tylko nieliczni ostali się jako czynni pracownicy naukowcy i działacze społeczno-kulturalni na Warmii i Mazurach. Jedni uszli na bezpieczniejszy teren, drudzy, uwięzieni, dotrwali szczęśliwie do „Polskiego Października”, wreszcie jeszcze inni, zepchnięci ze skromnych stanowisk kierowniczych w pracy oświatowo-kulturalnej, uchowali się w Olsztynie do dni dzisiejszych. Tylko dwaj prelegenci zachowali zajmowane w r. 1945 pozycje, a dwaj inni zdołali nawet uzyskać po naszym „Październiku” awans i szerszy wpływ na bieg życia na Warmii i Mazurach.

Dla nas, którzyśmy uczestniczyli w walce o odzyskanie przywróconego Ojczyźnie formalnie w roku 1945 ludu, było od samego początku jasne, że tylko szeroko zakrojona akcja uświadamiająca wszystkich mieszkańców Ziemi Odzyskanych, tu-byłców i osiedleńców, w najistotniejszych zagadnieniach z historii i kultury regionu, akcja, której towarzyszyć powinna życzliwość i umiejętność postępowania władz administracyjnych działających na podstawie specjalnego w tym względzie dla Ziemi Odzyskanych wydanego ustawodawstwa, rozwiązać może pomyślnie proces historycznego scalenia odzyskanych braci z napływową ludnością i całym narodem polskim.

Świadomość konieczności uchwycenia tej wielkiej szansy historycznej zrodziła się i dojrzała w warstwie wówczas najbardziej oświeconej: wśród nauczycieli. Niestety, mimo zachęty i ofiarowania pomocy ze strony ówczesnych władz oświatowych z akcji tej nie skorzystały ani miejscowe czynniki polityczne, ani władze administracyjne, ani związki zawodowe czy organizacje młodzieżowe, ani wreszcie żadna instytucja społeczna działająca na skalę wojewódzką.

W okresie powszechnego wówczas u nas lekceważącego stosunku do wiedzy nie znalazł się dosłownie nikt wśród ówczesnych czynników odpowiedzialnych, politycznych i administracyjnych, kto by uznając konieczność zapoznania ludności napływowej i autochtonicznej z historią i kulturą regionu w powiązaniu z historią i kulturą ogólnopolską, potrafił być poszerzyć i uzupełnić kształcenie ideologiczne znajomością historii i kultury odzyskanego ludu. Jedyne postępowe tradycje wolno było na Ziemiach Odzyskanych upatrywać tylko w tradycji walk Komunistycznej Partii Niemiec (KPD, później i SPD)) tradycje zaś walki z germanizacją były zaledwie tolerowane jako przeżytek nacjonalizmu — i to nie wszędzie. W wyniku takiego stanowiska musieli być podejrzliwie traktowani liczni członkowie nowej społeczności na Ziemiach Odzyskanych, a szczególnie ci, o których wiadano, że posiadają oznakę honorową „Za Wiarę i Wytrwanie” lub są członkami

b. Zw. Polaków w Niemczech. Brak jasno określonej linii politycznej w stosunku do ocalałych z pogromu lat 1939—45 bojowników o polskość Ziemi Odzyskanych, nie będących członkami istniejących po r. 1945 ugrupowań politycznych, powodował, że działacze tych zaczęto tu i ówdzie traktować jako ludzi nadających się bardziej do zabezpieczenia niż do kierowniczych stanowisk w życiu Polski Ludowej. Przekonała się o tym na sobie większość prelegentów Kursu Mazuroznawczego w Olsztynie.

Z ustąpieniem pierwszego ministra oświaty i towarzyszącej temu zmianie stosunków politycznych w kraju również i Ministerstwo Oświaty przestało się interesować naprawą stosunków społeczno-kulturalnych i społeczno-oświatowych na Ziemiach Odzyskanych. Dopiero w r. 1953 znalazła się (oczywiście poza regionem) instytucja, która zaprzagnęła przeszkolić swych pracowników zatrudnionych na Warmii i Mazurach nie tylko ideowo, ale i zawodowo. Była to Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, która w dziesięciu spółdzielniach pracy na Mazurach i Warmii zatrudniała prawie wyłącznie ludność autochtoniczną. Pracownicy tych spółdzielni, wychowani przeważnie w szkole niemieckiej, a często i hitlerowskich organizacjach młodzieżowych, posiadali bardzo wypaczone pojęcie zarówno o historii, jak w większej jeszcze mierze o kulturze regionu.

Po odpowiednich przygotowaniach udało się Zarządowi Głównemu CPLiA uruchomić specjalne kursy o charakterze repolonizacyjnym w 7 spółdzielniach na Warmii i Mazurach a mianowicie: w Olsztynie („Sztuka Ludowa”), Mikołajkach („Tkanina”), Wielbarku („Przodownica”), Olsztynku („Pokój”), Giżycku („Mewa”) i Barczewie („Warszawianka”), oraz w Dźwierzutach („Przodownica”).

Program kursu realizowany przez r. 1954 obejmował zagadnienia historii (32 godziny) oraz kultury (34 godziny). Na zagadnienia historyczne złożyły się następujące tematy:

1. Ziemie Prusów w okresie powstania i utrwalenia się Państwa Polskiego (1 g.)
2. Zagrożenie ziemi Prusów i Pomorza przez Krzyżaków w okresie rozbięcia Polski na dzielnice (1 g.)
3. Ziemie Mazowska Pruskiego pod jarzmem krzyżackim (2 g.)
4. Grunwald (1 g.)
5. Powrót Polski nad Bałtyk (2 g.)
6. Hołd Pruski i początek lennego państwa Hohenzollernów (1 g.)
7. Rozbiory Polski (2 g.)
8. Sprawa polska w Prusach Wschodnich w latach 1870—1905 (2 g.)
9. Plebiscyt 1920 roku (2 g.)
10. Zagadnienie pierwszej i drugiej wojny światowej (2 g.)
11. Czasy współczesne. Plany gospodarcze ze szczególnym uwzględnieniem planu 6-letniego (7 g.)
12. Konstytucja PRL i zagadnienie awansu społecznego (5 g.)
13. Ogólne naświetlenie polityki europejskiej z uwzględnieniem stosunków między Polską a Prusami (4 g.)

Zagadnienia kultury podzielono na dwa działy: kultury ogólnej i regionalnej. Tematyka zagadnień ogólnych objęła:

1. Literaturę i poezję (2 g.)
2. Sztukę malarską (2 g.)
3. Muzykę (2 g.)
4. Naukę polską (3 g.)

W dziale kultury regionalnej znalazły się następujące zagadnienia:

1. Sztuka ludowa (2 g.)
2. Tkactwo (2 g.)
3. Zagadnienie polskiego piśmiennictwa (2 g.)
4. Walka o szkołę polską (2 g.)
5. Warmia i Mazury w literaturze polskiej (1 g.)

Osobną grupę zagadnień kultury regionalnej stanowiły spotkania literackie z poetami regionalnymi: Marią Zientara-Malewską, Teofilem Ruczyńskim i Michałem Lengowskim, prezesem Olsztyńskiego Oddziału ZLP.

Wśród zagadnień kulturalno-rozrywkowych znalazły się problemy poruszające praktyczne zastosowanie zdobytych na kursie wiadomości o wieczornicach poświęconych:

1. Poezji ludowej Warmii i Mazur (2 g.)
2. Pieśni ludowej Warmii i Mazur (2 g.)
3. Tańcom regionalnym (2 g.)
4. Wymowie i recytacji, łącznie z konkursem recytatorskim (4 g.)

Również i ta inicjatywa nie znalazła na Warmii i Mazurach kontynuatorów. Ciekawe i niewątpliwie cenne doświadczenia wykładowców i organizatorów nie zostały zupełnie przez nikogo wykorzystane. Likwidacja placówek wytwórczych CPLiA na Warmii i Mazurach przerwała dalsze zamierzenia spółdzielni w dziedzinie stałego podnoszenia kwalifikacji pracowników przemysłu artystycznego w zakresie znajomości sztuki ludowej i kultury regionu. Dopiero w r. 1955 spotykamy nową próbę upowszechnienia historii i kultury regionu. I tym razem inicjatywa przyszła z zewnątrz. Pionierskiego trudu podjął się Krajowy Związek Spółdzielni Transportu w Warszawie — a więc organizacja zdawałoby się najmniej powołana do inicjowania czynnego uczestnictwa w dziele upowszechnienia kultury. Jest to tym godniejsze uznania, że miejscowe władze administracyjne jak i organizacje polityczne i społeczne nie uczyniły w ciągu minionego dwunastolecia nic godnego zanotowania ani dla swych członków, ani dla szerokich mas tak różnorodnego społeczeństwa zamieszkującego Warmię i Mazury.

Związek Spółdzielni Transportu przeprowadził zaplanowaną akcję w trzydziestu miejscowościach woj. olsztyńskiego, a mianowicie: w Bartoszycach, Biskupcu, Braniewie, Działdowie, Dobrym Mieście, Giżycku, Górowie Iław., Jonkowie, Kętrzynie, Korszach, Lidzbarku Warm. i Lidzbarku Pomorskim, w Małdytach, Miłomłynie, Morağu, Mrągowie, Nidzicy, Nowym Mieście, Olsztynie, Olsztynku, Ostródzie, Orniecie, Pasłęku, Reszlu, Sepopolu, Szczytnie, Węgorzewie i Zalewie.

W miejscowościach tych odbyły się w latach 1955 i 1956 odczyty i spotkania literackie, na które Zw. Sp. Transportu zapraszał nie tylko członków i pracowników innych spółdzielni, ale i całe miejscowe społeczeństwo. Dzięki temu frekwencja na odczytach i spotkaniach literackich była stosunkowo duża, osiągając rekord w Lidzbarku Warmińskim (około 600 osób).

Program wykładów obejmował zarówno zagadnienia historyczne, jak i kulturalne, związane z upowszechnianiem czytelnictwa, piśmiennictwem i walką o zachowanie kultury polskiej. Niektóre z tych zagadnień zostały opracowane przez olsztyńskich naukowców i w ten sposób powstała podręczna książka — pierwsze tego rodzaju wydawnictwo regionalne, zawierające 13 tematów z historii i kultury regionu. Książka realizuje w pewnym stopniu postulowany od lat dwunastu podręcznik zagadnień historii i kultury regionu. Znaczna przewaga tematów średniowiecznych nad nowożytnymi nie umniejsza znaczenia wydawnictwa, aczkolwiek nie zaspokaja potrzeb działaczy kulturalnych i oświatowych.

Pięknym podsumowaniem akcji Związku Spółdzielni Transportu rozpoczętej w dniu 8 grudnia 1955 r. była narada zorganizowana przez Związek w Olsztynie w dniu 14 sierpnia 1956 r., połączona z rozdaniem nagród wyróżnionym zespołom i pracownikom spółdzielni. W naradzie poświęconej sprawie upowszechnienia kultury regionu uczestniczyli obok miejscowych działaczy społeczno-kulturalnych również przedstawiciele Krajowego Związku Spółdzielni Pracy z Warszawy. Część artystyczna uświetnił koncert reprezentacyjnego chóru Spółdzielni Pracy z Krakowa „Hejnał” oraz międzyspółdzielniany zespół regionalny „Warmia i Mazury” i warmińsko-mazurscy literaci i śpiewaczki ludowe. Wśród uczestników narady zabrakło,

zgodnie z przedpaździernikowymi praktykami w dziedzinie absencji kulturalnej, tylko przedstawiciele miejscowych władz i tak zwanych czynników oficjalnych, zarówno wojewódzkich, jak miejskich.

„Polski Październik” wprowadził w regionie warmińsko-mazurskim duże zmiany również w dziedzinie organizacji życia kulturalnego we władzach wojewódzkich administracji państwowej i społeczno-politycznych. Jest więc uzasadniona nadzieja, że obecnie sprawy kultury na Ziemiach Odzyskanych i przygotowania zarówno nowych kadr pracowników, jak i samego społeczeństwa wejdą na właściwe tory. Oby w tych właśnie sprzyjających warunkach odnowy inicjatywa Związku Transportowców znalazła na Warmii i Mazurach oraz innych regionach Ziem Odzyskanych godnych kontynuatorów.

Władysław Gębik (Olsztyn)

OŚWIATA W WOJEWÓDZTWIE OLSZTYŃSKIM

Sprawy oświatowe Warmii i Mazur nie były w całym 12-letnim okresie Polski Ludowej na forum politycznym i gospodarczym omawiane i dyskutowane. Nawet wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego z r. 1947, przedstawiające położenie gospodarcze woj. olsztyńskiego, nie zajęło się z tego punktu widzenia potrzebami szkolnictwa¹. Kiedy analizujemy przyczyny tego stanowiska, to wydaje się, iż było ono spowodowane przekonaniem:

- a) że sieć, stan budynków i wyposażenie szkół, które pozostawili Niemcy, wystarczają na dłuższy okres czasu,
- b) że zagadnienia oświaty, skoncentrowane w rękach Ministerstwa Oświaty, bezpośrednio nie dotyczą władz terenowych,
- c) że rozwój oświaty i kultury wobec trudności administracyjnego i gospodarczego opanowania terenu, nie jest problemem pierwszorzędnej wagi.
- d) że problemem istotnym, obchodzącym administrację szkolną, jest sprawa znalezienia odpowiedniej jakościowo i ilościowo kadry nauczycielskiej, która mogłaby uruchomić istniejące szkoły i należycie prowadzić w nich naukę. Zresztą w całej Polsce istniał wówczas problem, czy nie otwierać szkół nie posiadając odpowiedniej ilości kwalifikowanych nauczycieli, czy też angażować niewykwalifikowanych nauczycieli, byleby tylko uruchomić szkoły. Ministerstwo Oświaty wybrało tę drugą alternatywę.

W wyniku takiego nastawienia władze terenowe administracji ogólnej naszego regionu niezbyt się troszczyły o aktualne zagadnienia szkolnictwa. Wydawało się, że problemy oświatowe na Warmii i Mazurach streszczać się będą przez dłuższy okres czasu tylko do życia wewnętrznego szkoły, do zagadnień pedagogicznych, dydaktycznych i politycznych. Inne sprawy, jak budownictwo, wyposażenie szkół, sytuacja materialna nauczyciela np. na wsi, wydawały się właściwie zagwarantowane. Przecież dużo budynków szkolnych zostało przejętych na inne cele, pomieszczenie w nich znalazły inne instytucje i urzędy, dużo zresztą stało pustką.

Tymczasem problem oświatowy na Warmii i Mazurach już od jakichś 4 lat zaczął stawać się palącym, przede wszystkim w zakresie budownictwa szkolnego.

Należałoby więc zapytać, jakim sposobem doszło do tej niespodzianki. Z wielu przyczyn, wydaje się, że główna leżała i jeszcze bodaj że leży w ewidencji dzieci podlegających obowiązkowi szkolnemu. Zapomniano o jednym z ważniejszych przejawów demograficznych: przyroście ludności w naszym regionie i związanym z tym zagadnieniu szkolnym.

Zasługą jest obecnego kierownictwa administracji szkolnej i Prezydium Woje-

¹ Stan i potrzeby gospodarcze Pomorza Wschodniego. Instytut Bałtycki, Bydgoszcz 1947.

wódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, że przedstawiło w dniu 9 VI 1957 r. na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej sprawę oświaty, że wystąpiło z hasłem przeprowadzenia w najbliższych latach głównego nacisku — na budownictwo szkolne i budownictwo mieszkaniowe.

Referat, koreferat oraz szeroka dyskusja nad sprawami oświaty Warmii i Mazur specjalnie były interesujące wobec toczącej się dyskusji na tematy oświatowe w kraju na ogólnopolskim Zjeździe Oświatowym (2—5 V 1957). Specjalne znaczenie miały uwagi wypowiedziane na Sesji przez ministra W. Bieńkowskiego.

Przypomnieć wypada, że zagadnienia oświatowe Warmii i Mazur w dziesięcioleciu powojennym omawiane były na innym forum — naukowym, na konferencji pomorskiej w Gdańsku². Wprawdzie w Gdańsku H. Garbowski podsumował wyniki pracy oświatowej, dał przegląd dorobku, jednakże ani jego referat, ani dyskusja po nim nie uwypukliła palących regionalnych problemów oświatowych. Stało się prawdopodobnie tak dlatego, że nie widziano ich jeszcze wtedy oraz dlatego że zabrakło na Sesji przedstawicieli władz reprezentujących administrację i politykę oświatową.

Sesja Oświatowa Wojewódzkiej Rady Narodowej nie przyniosła w zasadzie nowych czy odmiennych stwierdzeń na temat stanu szkolnictwa w woj. olsztyńskim w l. 1945—1957, niż to podano na sesji pomorskiej w Gdańsku. Stąd nie ma potrzeby przedstawienia stanu tego na tym miejscu. Zwrócić należy tu jednak uwagę na momenty, których brakowało na Sesji Pomorskiej, tzn. na akcenty polityki oświatowej.

Na pierwszym miejscu trzeba postawić sprawę nawiązywania do tradycji szkolnictwa polskiego na Warmii i Mazurach w okresie międzywojennym w szczególności, a do historii regionu w ogólności. Sprawa ta posiada zresztą i wydźwięk polityczny ogólnopolski. Jest to sprawa uwzględniania regionalizmu w programach nauczania zwłaszcza w takich przedmiotach jak: język polski, historia i geografia. W stosunku do programów nauczania na Ziemiach Zachodnich Ministerstwo Oświaty zrobiło próbę wkładek regionalnych. Czy eksperyment ten się uda? Przede wszystkim bowiem trzeba zapoznać samych nauczycieli z regionem. Wprawdzie ani referat, ani koreferat w zasadzie nie poruszał spraw pedagogicznych, dydaktycznych, ale wielu dyskutantów (pięciu) podkreślało wagę tej sprawy i ilustrowało ujemne skutki jej zaniedbywania.

Drugim ważnym zagadnieniem polityki szkolnej na Warmii i Mazurach to obserwowane zmniejszanie się z każdym rokiem liczby dzieci miejscowego pochodzenia w szkołach podstawowych. W roku szkolnym 1951/52 liczba ta wynosiła 18150, (18,2% ogółu dzieci), w roku 1955/56 spadła do 8970 (8,7% ogółu dzieci). Proces ten jest wynikiem różnych czynników i ilustruje problem emigracji ludności miejscowego pochodzenia, problem, który — jak się wyraził minister Bieńkowski — jest „nie tylko głębokim wstydem, ale i upokorzeniem dla nas”. Stąd szkoła naszego regionu musi podjąć ogólną walkę o każde dziecko miejscowego pochodzenia, zgodnie z tym, co powiedział przewodniczący Rady Państwa A. Zawadzki w czasie swego pobytu w Olsztynie, „będziemy walczyć o 100.000 ludność mazurską i warmińską, a nawet o tego 100. 001-jednego”.

Mimo położenia przez referat i koreferat nacisku na sprawy ogólniejsze związane ze szkolnictwem w dyskusji stałe przewijały się problemy ściśle dotyczące szkoły, zagadnienia wychowania i nauczania. Dużo mówiono o konieczności wzmocnienia autorytetu nauczyciela, poszanowania dla pracy w szkole, wyrobienia obowiązkowości uczniów i nauczycieli, moralności, o programach i metodach nauczania. Podkreślano rolę harcerstwa, filmów oświatowych i instruktażowych (które na terenie woj. olsztyńskiego niesłusznie ostatnio się ogranicza), w ogóle sprawę pomocy

² Konferencja Pomorska 1954 r. Warszawa 1956 r. s. 453—471. Henryk Garbowski, Oświata polska na Warmii i na Mazurach w okresie 10-ciolecia Polski Ludowej.

w nauce biologii i chemii (których stan jest katastrofalny). Jedną z dyskutantek, omawiając sprawę szkół specjalnych, wysuwała postulat likwidacji przestępczości wśród dzieci poprzez rozładowanie przepełnienia szkół i uwzględnienie nowych wychowawczych elementów w programach nauczania i wychowania. Ten problem oświatowy regionu jest również zagadnieniem ogólnopolskim, jak to oświadczył minister Bieńkowski, gdyż „niesłusznie dotychczas rola wychowawcza szkoły była deprecjonowana”.

Sprawy te szkoły zneglizowane w referacie i koreferacie wobec głosów padłych na sesji muszą chyba być omówione na innym forum publicznym, choćby w szerszym gronie rodzicielskim. Chyba jest to ważne ze względu na ostatnie — wydaje się niesłuszne — oziębnienie stosunków między Komitetami Rodzicielskimi a władzami szkolnymi. Ostatecznie znalezienie wspólnego języka między domem a szkołą chyba tylko może wyjść na dobre szkole, a przede wszystkim dzieciom i młodzieży. Alarmujące w tej sprawie głosy (m. innymi posła na Sejm ziemi warmińskiej Wandy Pieniężnej), przede wszystkim odnoszące się do wychowania młodzieży wiejskiej, wskazują na wagę i zainteresowanie społeczeństwa tym zagadnieniem.

Zresztą polepszenie wyników nauczania i wychowania na terenie Warmii i Mazur nierozzerwalnie związane jest ze sprawą pomieszczeń szkolnych. Problem ten znowu jest problemem szerszym, wynikłym ze zmiany stosunków demograficznych tak na Warmii i Mazurach, jak i całej Polsce, a nawet w Europie. Administracja szkolna stoi przed ogromnym zadaniem nadążania za zmianami demograficznymi. W ogólnej diagnozie sprawa ta wygląda, według stwierdzenia ministra Bieńkowskiego, w ten sposób, że „nie możemy sobie poradzić z biologiczną siłą naszego narodu. Nie możemy budować tyle szkół, więc musimy reorganizować szkoły”.

Konieczność reorganizacji szkolnictwa wynika choćby z omawianego tu referatu, który podaje takie fakty: w Olsztynie i w miastach jest niesłychane przepełnienie w klasach, w każdej szkole odbywa się nauka w dwóch czy nawet w trzech rzutach; tymczasem znajdujemy szkoły na wsi, w których utrzymuje się nauczyciela dla mniej niż 10 (28 szkół), czy mniej niż 20 uczniów (182 szkoły); w wielu miejscowościach jest dwóch lub trzech nauczycieli, mimo że liczba uczniów w tamtejszych szkołach daleko odbiega od norm ustalonych przez Ministerstwo Oświaty.

Wydział Oświaty Prez. W.R.N. stwierdza, iż „charakterystyczny dla naszego województwa jest fakt, że mimo wzrostu liczby szkół pełnych w ciągu ostatnich sześciu lat, nie ulega prawie zmniejszeniu liczba szkół o 1 nauczyciela. Szkół tego rodzaju mamy w dalszym ciągu 536, co w porównaniu np. z r. 1951 wskazuje na nieznaczne tylko obniżenie, bo wówczas mieliśmy ich 551”. Rozwiązanie tych anomalii olsztyńskie władze oświatowe widzą w rozbudowywaniu internatów przy szkołach podstawowych (jest takich 10) oraz w umieszczeniu 540 uczniów szkół podstawowych w internatach przy liceach ogólnokształcących. Poważne rozmiary przybiera również akcja stypendialna dla młodzieży szkół podstawowych. W r. 1957 przeznaczono na ten cel 800.000 zł. Na marginesie tej sprawy należałoby zastanowić się poważnie nad głosami, które padły na Sesji i żądały powołania Społecznego Funduszu Budowy Szkoły czy nawet reaktywowania Towarzystwa Burs i Stypendiów. Komisja Oświatowa Wojewódzkiej Rady Narodowej przedstawiła trudny stan szkolnictwa, który wyraża się m. in. w tym, że w Olsztynie w r. 1957 w 167 oddziałach było 6992 uczniów, tymczasem w r. 1958 odeszły uczniowie 552, przybędzie natomiast 1423. W następnych latach kolejno cyfry te przedstawiać będą się dla Olsztyna następująco: r. 1959 — 590 — 1398, r. 1960 — 800 — 1483, r. 1961 — 950 — 1538, r. 1962 — 1000 — 1611. Co roku w samym tylko Olsztynie trzeba by więc budować jedną szkołę. Wnioskami dalszymi to konieczność uzyskania pierwszeństwa dla budownictwa szkolnego, zlecenie budowy szkół najlepszym firmom oraz niedopuszczanie do wykorzystywania szkół na inne cele. Jednym z licznych pozytywnych wniosków

władz szkolnych to zapowiedź wprowadzenia ponownie nauki w oddziałach łączonych.

Ważnym problemem szkolnictwa mazursko-warmińskiego jest zaopatrzenie szkół w inwentarz i pomoce naukowe. Występuje tu brak ławek i tablic. Sprzęt niszczy na skutek obojętności tak nauczycieli jak i uczniów. Brak pomocy naukowych od map i planów poczynając, na bardziej skomplikowanych pomocach do nauki biologii, chemii czy fizyki kończąc. Koreferat Komisji Oświatowej podkreślił nawet fakt, że mimo iż kredyty na ten cel były przyznane, to jednak nie można było potrzebnych uzyskać. Wysłunięto nawet przy tym postulat, by nie przerzucano zbyt dużej ilości wspomnianych materiałów do Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Również dyskutanci szeroko podkreślali konieczność zwiększenia jakości i asortymentu pomocy naukowych.

Znaczną uwagę zwrócono na higienę szkolną. Mówiono o konieczności wzmocnienia opieki lekarskiej nad dziećmi. Lekarz „nie może się ograniczać do rejestrowania wad i zaburzeń, lecz powinien zapobiegać chorobom”.

Ogólnym zagadnieniem, które również poruszano na Sesji, to warunki bytowe nauczycieli. Jedna z dyskutantek podkreśliła, że „sprawy bytowe nauczycieli to nie biadolenie”, ale sprawa wymagająca radykalnego uzdrowienia. Komisja Oświatowa stwierdziła, że warunki bytowe nauczycieli są złe. Nauczyciele mieszkają kątem, zajmują klasy szkolne, 80 rodzin nauczycielskich w Olsztynie od lat ubiega się bezskutecznie o mieszkania. Szczególnie trudne warunki mają nauczyciele na wsi, gdyż słabo tam przebiega zaopatrzenie w opał, towary żywnościowe, a nawet mleko. W czasie dyskusji zastanawiano się nad ważnym zagadnieniem, a mianowicie, czy nauczyciel może należycie spełniać swe zadania, jeśli musi się zajmować gospodarstwem i uprawą roli, by móc utrzymać rodzinę. W wyniku dyskusji stwierdzono, że uprawa roli, prowadzenie gospodarstwa przyszkolnego w chwili obecnej jest koniecznością.

Omawiając sprawy szkolnictwa wiele miejsca poświęcono też przedszkolom. Zastanawiające są tu dwa fakty: zmniejszanie się liczby przedszkoli (z 331 w r. 1950 na 245 w r. 1957), mimo nieznacznego wzrostu liczby dzieci w przedszkolach (9513 w r. 1950, a 9652 w r. 1957). Wiele na to przyczyn się składa. Cyfry te zdają się ilustrować fakt, że rola przedszkola jako czynnika wychowującego dzieci jest stosunkowo ograniczona. Większość dzieci w wieku przedszkolnym wychowuje się w rodzinach. Proces więc zanikania przedszkoli na Warmii i Mazurach jest świadectwem, że dotychczasowa organizacja wychowania przedszkolnego jest niewystarczająca, że naturalna komórka, jaką jest rodzina, ciężar ten w dalszym ciągu w przeważającej części ponosi sama. Ilość dzieci w przedszkolach świadczy, że tylko znikoma ich ilość trafia do przedszkola, i to dzieci rodziców nie zawsze najwięcej potrzebujących pomocy w tym zakresie, to znaczy rodzin wielodzietnych, czy posiadających trudniejsze warunki bytowe.

Drugim faktem — to poważne zmniejszanie się przedszkoli na wsi (w r. 1950 — 269, a w r. 1957 — 147). Np. w pow. olsztyńskim było w r. 1947 69 przedszkoli z 1783 dziećmi, a w r. 1957 jest 28 przedszkoli z 659 dziećmi. Fakty te, różnie tłumaczone, są zastanawiające.

Najbardziej rozbudowanym działem szkolnictwa jest szkolnictwo podstawowe. Liczba szkół podstawowych, jak i liczba uczniów — jak podaje sprawozdanie — wzrosła w ciągu 12 lat dwukrotnie. W r. 1946 było 612 szkół z 54096 dziećmi, a w r. 1957 — 1323 szkoły obejmujące 113 283 dzieci. Tak samo wzrósł stopień organizacyjny szkół. W r. 1946 było 53 szkół o 4 i więcej nauczycielach, w r. 1957 jest 417 takich szkół. W r. 1946 tylko 9% szkół posiadało klasy siódme, w r. 1957 procent ten wzrósł do 41%. Uczniów kończących klasy siódme było w r. 1946 — 23%, a w r. 1957 — 94%.

Mimo tych osiągnięć liczba dzieci pozostających poza szkołą wynosi ok. 1300. Nie można osiągnąć powszechności nauczania z uwagi na niezrozumiałą obojętność rodziców na te sprawy. Władze administracji ogólnej zbyt tolerancyjnie traktują rodziców nie posyłających swych dzieci do szkół, ograniczając się tylko do „rozmówek” czy do upomnień. Sprawa o tyle jest ważną, że jak Komisja Oświatowa stwierdziła, grozi nawet powrotny analfabetyzm. Tym bardziej że dzieci nie chcą się doksztalać. Tak samo robotnicy, nawet w szkołach przyzakładowych nie chcą uczyć się, gdyż „nauka nie popłaca”. W wielu zakładach pracy zaledwie 10% załogi uczy się w szkołach dla dorosłych. Odsiew i odpad uczniów stanowią również jedno z istotnych utrudnień w realizacji powszechności nauczania. Po dwunastu latach działalności szkoły istnieje w województwie olsztyńskim 50.000 młodzieży, która nie ma ukończonej siódmej klasy. Również szkoły wieczorowe nie zdały egzaminu z powodu znacznej absencji uczniów

Na Sesji wysunięto wnioski, by:

1. obniżyć czas pracy o 6 godzin tygodniowo dla doksztalających się
2. zobowiązać kierowników zakładów pracy do przypilnowania sprawy doksztalania
3. nie wydawać świadectw czeladniczych, jeśli ubiegający się o nie nie posiada ukończonych siedmiu klas.

Z problemem powszechności nauczania związane szkolnictwo specjalne, które nie jest w stanie ująć jeszcze 486 dzieci upośledzonych. Sprawa ta była przedmiotem usilnego apelu na Sesji.

Szczególną troską Olsztyna jest szkolnictwo średnie ogólnokształcące. W r. 1946 szkół tego typu było 12 i obejmowały one 2280 uczniów, w r. 1957 jest ich 23 o 4315 uczniach. Miarą rozwoju tego szkolnictwa jest liczba uczniów przyjmowanych do kl. VIII: w r. 1946 wynosiła ona 124, a w r. 1956 — 1960, wzrosła więc przeszło piętnastokrotnie. Przy równoczesnym nieznacznym spadku szkół zawodowych jest to problem dość palący. Z drugiej strony uznano likwidację szkół zawodowych za zasadniczy błąd.

W szkołach średnich mamy pomyślny objaw: wzrost liczby młodzieży miejscowego pochodzenia. W r. 1950 było w nich 50, a w roku 1957 jest 215 uczniów miejscowego pochodzenia, tzn. 5% ogółu uczęszczających do tych szkół. Daleko jeszcze do normalnego stanu odpowiadającego procentowemu stosunkowi ludności miejscowego pochodzenia do ogółu ludności — ale fakt ten rokuje poprawę w przyszłości.

Wysiłek władz oświatowych najwyraźniej ilustrują dane dotyczące zakładów kształcenia nauczycieli. W r. 1945 były w woj. olsztyńskim 3 licea pedagogiczne z 468 uczniami, w r. 1957 jest 8 liceów pedagogicznych z 2117 uczniami i dwa licea wychowawczyń przedszkoli z 245 uczennicami. W r. 1954/55 erygowano Studium Nauczycielskie liczące 194 słuchaczy. Studium ma trzy kierunki: filologię polską, matematykę z fizyką oraz biologię z pracami ręcznymi. Brak historii z geografiją. Zaoczne kursy Studium Nauczycielskiego z tego zakresu nie załatwiają sprawy. Polityka stypendialna specjalną uwagę zwraca na zakłady kształcenia nauczycieli. W r. 1956 przydzielono 2264 uczniom stypendia w wysokości 2 884.000 zł. Ze stypendiów korzysta szczególnie młodzież miejscowego pochodzenia, której liczba waha się od 13% w r. 1950 do 5,8% w r. 1953/54, czy 8% w r. 1957 ogółu uczniów liceów pedagogicznych.

W bieżącym roku szkolnym w Liceum Pedagogicznym w Bartoszycach utworzono dwie pierwsze klasy dla 70 uczniów narodowości ukraińskiej.

Oświata dorosłych na terenie woj. olsztyńskiego miała szczególne znaczenie ze względu na ludność miejscowego pochodzenia, oraz na liczną (prawie 50.000) rzeszę analfabetów spośród ludności napływowej. Szkoły podstawowe dla pracujących do r. 1949 dały 2.239 absolwentów, 766 kursów objęło 10732 słuchaczy, spośród których

ukończyło pełną szkołę podstawową 6762 osoby. 641 kursów dla ludności miejscowego pochodzenia przeszkoliło 16090 osób. Do r. 1949 nauczycielstwo prowadziło 595 świetlic. Żałować tylko należy, że ten dział pracy przeszedł po r. 1949 w kompetencje Wydziałów Kultury i w ten sposób pozbawiono go głównego terenowego działacza kulturalnego — nauczyciela.

W ramach akcji dokształcania w zakresie programu ogólnokształcącego ukończyło szkołę 1026 absolwentów.

W r. 1957 czynnych jest 129 szkół podstawowych dla pracujących z 3400 uczniami, 10 liceów ogólnokształcących dla pracujących z 1663 uczniami i 14 liceów ogólnokształcących dla oficerów z 1500 uczniami.

Szczególne braki wykazuje szkolnictwo zawodowe. Istnieje tylko 18 zasadniczych szkół zawodowych, 9 techników, 6 szkół Przysposobienia Rolniczego i 1 szkoła Przysposobienia Zawodowego. Uczniów razem 5.520, w tym 10% uczniów miejscowego pochodzenia. Braki w szkolnictwie tym uzewnętrzniają się w fakcie, że w r. 1956 zasadnicze szkoły zawodowe opuściło 870 wychowanków, w r. 1957 przewiduje się 474, a w r. 1958 tylko 400 absolwentów.

Problemem, mającym szczególny wydźwięk społeczny, jest opieka nad dzieckiem. Komisja Oświatowa stwierdziła brak zainteresowania przedszkolami, wystarczającą jest ilość domów dziecka, a natomiast złą w nich atmosferę, co przejawia się w dość znacznej ilości przestępstw nieletnich, znaczną ilość młodzieży dojeżdżającej. W chwili obecnej prowadzi się 22 domy dziecka mające 1665 wychowanków.

Również praca dydaktyczno-pedagogiczna szkół województwa olsztyńskiego, rola administracji szkolnej i nadzoru pedagogicznego wymaga bacznej uwagi. Chodzi tu o podnoszenie kwalifikacji zawodowych nauczycielstwa, w szczególności w zakresie nauczania języka polskiego, historii, itd. Sprawy te są tu tym ważniejsze, że jak się wyraził dyrektor departamentu Ministerstwa Oświaty ob. Baliński — praca nauczyciela w woj. olsztyńskim jest najcięższą w Polsce.

Na Sesji poruszono też atrakcyjną sprawę, a mianowicie reaktywowania Liceum Warmińsko-Mazurskiego oraz Mazurskich Uniwersytetów Ludowych.

Tadeusz Grygier (Olsztyn)

LUBUSKIE TOWARZYSTWO KULTURY W ZIELONEJ GÓRZE

W dniach 5 i 6 lipca odbył się w Zielonej Górze w sali konferencyjnej Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ul. Bohaterów Westerplatte Sejmik Kultury, którego głównym celem było powołanie do życia Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Poza delegatami z woj. zielonogórskiego w Sejmiku uczestniczyli m. i. wiceminister kultury i sztuki Edward Marzec oraz delegat Wydziału Kultury przy KCPZPR prof. Antoni Łyżwański. Obradom przewodniczył dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej w Zielonej Górze Władysław Drażkowski.

W pierwszym dniu obrad — 5 lipca — po krótkim przemówieniu I sekretarza KW PZPR Tadeusza Wieczorka przewodniczący Sejmiku odczytał telegram nadesłany przez członków komisji do spraw kultury przy KM i KW PZPR we Wrocławiu oraz list prof. Gerarda Labudy, który zadeklarował „gotowość nawiązania ścisłego kontaktu z przyszłym Towarzystwem w dziedzinie kulturalnego zagospodarowania Ziemi Lubuskiej”.

Następnie przewodniczący W. Drażkowski wygłosił referat „O zagadnieniach kultury województwa zielonogórskiego”, wytyskając błędy dotychczasowej polityki kulturalnej na terenie województwa oraz wysuwając dążeń zmierzających do znalezienia wyjścia z dotychczasowego impasu. Referent omówił kolejno poszczególne problemy oraz działalność instytucji kulturalnych w województwie i w samej Zielonej Górze. M. in. poruszył takie tematy, jak: rola nauczyciela w oddziaływaniu na rozwój kultury, bibliotekarstwo a upowszechnianie czyteln-

nictwa, zagadnienie ludności rodzimej, konserwacja zabytków historycznych, rola Domów Kultury oraz amatorskiego ruchu artystycznego, osiągnięcia i możliwości Państwowego Teatru w Zielonej Górze.

W obszernej dyskusji, która się wywiązała po referacie, brali udział przedstawiciele różnych środowisk kulturalnych, m. in. Alfons Bogaczyk, księgarz, mówił o potrzebie utworzenia koła młodych literatów oraz wydawnictwa zielonogórskiego; Edward Dąbrowski, kierownik pracowni archeologicznej w Pszczewie, o badaniach archeologicznych prowadzonych na terenie województwa; Zygmunt Rutkowski, sekretarz Polskiego Towarzystwa Historycznego w Zielonej Górze, zaakcentował potrzebę stworzenia odpowiednich warunków dla publikacji i pracy naukowej. P. Gliński, nauczyciel, zwrócił się z apelem do pedagogów województwa, aby wstępowali w szeregi członków Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Poeta Zdzisław Morawski oraz Władysław Korcz, historyk, skrytykowali postawę „Tygodnika Zachodniego” wobec inteligencji twórczej regionu zielonogórskiego, a etnograf Adam Glapa poruszył znaczenie etnograficznych badań pozwalających zrekonstruować kulturę materialną i duchową ludności zamieszkującej tutejsze tereny, zaznaczając, że argumenty etniczne są pierwszorzędym atutem ich polskości.

Na zakończenie pierwszego dnia obrad wygłosił przemówienie wiceminister kultury i sztuki Edward Marzec, poświęcone przeszłej i obecnej polityce kulturalnej w Polsce oraz możliwościom społeczno-kulturalnym woj. zielonogórskiego.

Wieczorne występy Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca stanowiły część artystyczną Sejmiku.

Drugi dzień obrad sejmikowych (6 lipca) przyniósł bardzo znaczne ożywienie dyskusji.

Zabierali głos m. in. Michał Kubaszewski, kierownik Muzeum w Zielonej Górze, który domagając się odpowiedniego pomieszczenia dla Muzeum zielonogórskiego zaproponował przeznaczenie na ten cel części ratusza, oraz delegat Wojewódzkiej Ekspozytury Polskiego Radia w Zielonej Górze Weroniczak, który podkreślił potrzebę wydawania zielonogórskiego pisma kulturalnego. Wiesław Sauter, nauczyciel licealny z Nowej Soli, poza wspomnieniami osobistymi, związanymi z terenem zielonogórskim, podniósł konieczność powołania do życia pisma zdolnego odeprzeć rewizjonistyczne zakusy niemieckiego „Drang nach Osten”.

W imieniu Towarzystwa Ukraińskiego przemawiał Paweł Stefanowski, poruszając zagadnienie mniejszości narodowościowej oraz proponując powstającemu Towarzystwu wzajemną współpracę.

Niektóre postulaty swych przedmówców poparł przedstawiciel Wydziału Kultury przy KC PZPR, prof. Antoni Lyżwański, podkreślając znaczenie przemian październikowych dla kultury polskiej.

Późniejsza dyskusja toczyła się głównie wokół problemów wydawniczych (redaktor Czesław Ostankowicz), polityki wydawniczej oraz postulatów wysuwanych pod adresem Ministerstwa Kultury (poseł Najder).

Do zebranych przemówili także reprezentanci ludności rodzimej: Jan Cichy, bojownik o polskość Ziemi Lubuskiej, oraz Apollonia Krawiec, literatka regionalna, dzieląc się wspomnieniami związanymi z przeszłością tej ziemi.

W toku obrad odwiedziły Sejmik bawiące w Zielonej Górze delegacje niemieckie z Frankfurtu n/Odrą i Kottbus (Chociebuża) oraz konsul generalny ČSR Macura. Pierwszy sekretarz Komitetu Okręgowego SED w Kottbus — Stief i konsul Macura w krótkich przemówieniach pozdrowili obradujących życząc Towarzystwu pomyślnego rozwoju.

W wyniku obrad Sejmiku ukonstytuowało się Lubuskie Towarzystwo Kultury. Wybrano Prezydium Towarzystwa w następującym składzie: prezes — Władysław

Drażkowski; wiceprezysi: Wiesław Sauter, Edward Dąbrowski i Władysław Korcz, sekretarz — Zdzisław Morawski; skarbnik — Danuta Białasik.

Obrano także władze honorowe Towarzystwa. Na honorowego przewodniczącego powołano Jana Cichego, na jego zastępców: Apolonię Krawiec i Eugeniusza Pauksztę.

Janusz Tomaszewski (Poznań)

GINA ZABYTKI W WOJEWÓDZTWIE ZIELONOGÓRSKIM

Działania wojenne spowodowały na Ziemi Lubuskiej ogromne spustoszenia. Ilustracją tych spustoszeń są następujące cyfry: miasta Kostrzyn i Głogów zniszczone są w 95%, Gubin w 90%, Rzepin w 55%. Na ogólną liczbę 35 miast woj. zielonogórskiego zaledwie Zielona Góra, Kożuchów i Nowa Sól uległy tylko nieznacznemu zniszczeniu.

Spośród wspomnianych 35 miast aż 29 posiada układ historyczny z licznymi obiektami zabytkowymi.

W wyniku działań wojennych i zaniedbań ubiegłych lat oraz bezplanowej akcji rozbiórkowej powstały na tych ziemiach niepowetowane straty w postaci zniszczonych i zdewastowanych zabytków architektonicznych. Wielkość tych strat, niezależnie od ubytku wartości kulturalnych, prawie że nie da się obecnie ustalić, a wartość tylko techniczno-budowlana zniszczonych obiektów szacowana jest w przybliżeniu na około 400 mln zł. Kwota ta obejmuje wyłącznie straty powojenne, powstałe z braku właściwej opieki. W konsekwencji wieloletniego zaniedbywania konserwacji szeregu zabytków kwalifikuje się dziś jedynie do rozbiórki. Wydanie jednak odnośnej decyzji winno być poprzedzone fachową ekspertyzą, a akcja rozbiórkowa przeprowadzona pod kierownictwem konserwatora z jednoczesnym przygotowaniem odpowiedniej dokumentacji naukowo-archiwalnej. Chodzi tu o to, by zapobiec faktom, jakie miały miejsce, a które w wyniku nieskoordynowanej gospodarki powojennej na Ziemiach Zachodnich, legalizującej często akcję rozbiórkową prowadzoną rozbudową, doprowadziły do zagłady nie tylko poszczególnych obiektów zabytkowych, ale nawet całych zespołów architektonicznych, jak np. pierzei wschodniej rynku we Wschowie, nawierzchni rynku w Głogowie, kamienic w Kożuchowie czy np. całej wsi Augustów w pow. Gubin.

Sprawa ochrony i ratowania pozostałych a zagrożonych obiektów zabytkowych na ziemiach nadgranicznych — a o tym zbyt często zapominało — ma również poważny aspekt polityczny. Trudności, jakie występują na tym odcinku, pogłębia jeszcze fakt, że brak jest ogólnych opracowań planów urbanistycznych dla miast zniszczonych.

Poszczególne instytucje i resorty nie interesują się odpowiednim wykorzystaniem i zagospodarowaniem opuszczonych zabytków. Dotyczy to m. in. np. pałacu Wallensteina w Żaganiu, zamku w Żarach, pałacu w Siedlisku. Nie zaopiekowano się też gotyckimi kościołami np. w Gubinie, Żarach i Strzelcach Krajeńskich. Władze terenowe podejmując nowe budownictwo mieszkaniowe wyłącznie w większych ośrodkach miejskich działały także na niekorzyść odbudowy zabytkowych kamienic i domów mieszkalnych w poszczególnych ośrodkach (np. Lubsko, Żary, Żagań, Kożuchów, Szprotawa, Osno Lubuskie, Babimost, Sulechów). Również zabytkowe budownictwo mieszkalne w Bytomiu Odrzańskim wymaga jak najszybszej opieki władz właściwych, gdyż może ono stanowić zaplecze mieszkaniowe dla przemysłowej Nowej Soli.

Na terenie woj. zielonogórskiego zinventaryzowano około 1400 zabytków architektury murowanej i drewnianej, przy czym nadmienić należy, że pracą tą nie objęto wszystkich miejscowości. Według aktualnego rejestru około 1000 obiektów przypada na miasta, a około 400 na ośrodki wiejskie lub obiekty rozproszone. Przeważająca ich część jest zniszczona w 30%, reszta w różnym stanie zachowania, przy czym mamy

tu wiele częściowo nieużytkowanych, zabytkowych budynków mieszkalnych oraz obiektów rozrzuconych w terenie.

Stosunkowo najlepiej przedstawiają się obiekty, posiadające użytkownika oraz użytkowane zabytki sakralne. Sposób wykorzystania tych obiektów bywa różny, np. pałace w Słońsku oraz Świdnicy przeznaczone zostały na magazyny zboża, a zespół poklasztorny w Otyniu — na stajnie i obory. Obiekty te winny więc jak najszybciej znaleźć właściwe przeznaczenie. Budownictwo o charakterze monumentalnym, np. pałac Wallensteina w Żaganiu, zamek w Żarach, pałac w Siedlisku, pałac w Pałcku, na skutek braku użytkownika uległo nieuchronnej dewastacji. Przed całkowitą zagładą ustrzec je może szybka pomoc ze strony władz centralnych i większa troska ze strony władz terenowych (jednakże ich możliwości wobec ograniczonych środków są minimalne).

Ewentualne przerzucenie części środków inwestycyjnych z nowego budownictwa na rekonstrukcję zabytkowych kamienic dałoby niewątpliwie w efekcie poważną ilość izb mieszkalnych przy niewielkich nakładach. Wydaje się, że szersze przeznaczenie obiektów zabytkowych na cele opieki społecznej czy na cele kolonijne przyczyniłoby się także do lepszego ich zachowania.

Największe skupiska budownictwa zabytkowego drewnianego znajdują się w powiatach: Wschowa, Strzelce Krajeńskie oraz w powiecie gorzowskim. Na terenie województwa istnieje 80 obiektów architektury drewnianej, w tym kościoły, kuźnie, chałupy, zabudowania gospodarcze i dzwonnice. Wiatraków nieczynnych i użytkowanych jest około 250. Drewniane kościoły wiejskie zostały poddane konserwacji w Klepsku, Kosieczynie i Chlastowie.

W pracach rejestracyjnych Urzędu Konserwatorskiego uwzględniono opis i stan zachowania zabytków, ich kubaturę, opis historyczny wraz z projektem prac zabezpieczających. Zaprowadzono kartotekę obiektów zabytkowych liczącą 1258 pozycji.

W ciągu 4 lat sporządzono około 12 tys. zdjęć fotograficznych zabytkowych obiektów, uzupełniając w ten sposób akcję inwentaryzacji. Przetłumaczono 6 pozycji bibliograficznych i opracowano 3 katalogi zabytków powiatów: Sulęcín, Świebodzin i częściowo Sulechów. Urząd konserwatorski przeprowadził nadto studia historyczne, architektoniczne, gospodarcze i kartograficzne miast zabytkowych, z naniesieniem na plany tych miast, wszystkich zabytków nieruchomości wraz z legendą i opisem planów techniczno-konserwatorskich dla każdego obiektu. Studia takie przeprowadzono dla następujących 10 miast: Bytom Odrzański, Strzelce Kraj., Sulęcín, Żagań, Babimost, Sulechów, Świebodzin, Międzyrzecz, Krosno Odrzańskie, Głogów. Studenci Politechniki Warszawskiej w ramach obowiązkowej praktyki wakacyjnej wykonali inwentaryzację urbanistyczną następujących 5 miast: Sulechów, Lubsko, Żary, Bytom, Międzyrzecz.

Prace te będą nadal kontynuowane. Całość robót konserwatorskich konserwator wojewódzki przeprowadza przy pomocy specjalnie zorganizowanych brygad, w których skład wchodzi fachowcy różnych specjalności. Ten system wykonawstwa okazał się najefektywniejszy.

Kolekcjonerstwem zabytków ruchomych zajmują się muzea regionalne. Zbiory muzeum gubińskiego zostały prawie w całości rozkradzione. Podobny los spotkał prywatne muzeum, jedno z największych w Europie, mieszczące się w pałacu żagańskim. Zbiory te zostały w przeważającej mierze wywiezione poza teren województwa, częściowo zaś nieujawnione znajdują się na jego terenie w rękach prywatnych. Odpowiednio przeprowadzona akcja prasowa i radiowa niewątpliwie przyczyniłaby się do odzyskania wielu z wspomnianych eksponatów. Znaczna ilość zabytków ruchomych służy do celów liturgicznych w kościołach i klasztorach — i te są z reguły najlepiej zachowane i zabezpieczone. Władze terenowe mają również w swym użytkowaniu wiele tych eksponatów. Praca władz konserwatorskich jest bardzo często utrudniona na skutek zdecydowanego oporu lub niewiedzy użytkownika, za-

równy w przypadkach gdy chodzi o ewidencję tych zabytków, jak i ich przekazywanie. Przepuszczalnie około 5000 tych eksponatów znajduje się w rękach prywatnych, przy czym ich użytkownicy nie są w stanie pokryć kosztów niezbędnej konserwacji, powodując zniszczenie przedmiotów często o wielkim znaczeniu historycznym.

Uświadomiona obywatelska postawa młodzieży, a także i rolników doprowadziła do wartościowych odkryć archeologicznych o znaczeniu ogólnopolskim. Na terenie województwa zielonogórskiego jest około 100 stanowisk archeologicznych, np. w Międzyrzeczu (zamek i okolice dworca), w Pszczewie, w okolicach Zbąszynka, Żar i Głogowa.

Piękno krajobrazu województwa stale się zmniejsza na skutek niszczenia drzewostanu, dewastacji parków, ogrodów zabytkowych oraz indywidualnych zabytków przyrody. Brak w tej dziedzinie wykwalifikowanej opieki fachowców, a władze terenowe wykazują słabe zainteresowanie tą sprawą. (Pozytywnym momentem jest tu piecza szkoły ogrodniczej nad parkiem w Iłowej Żagańskiej).

Ogrom potrzeb nie znajdował pokrycia w środkach finansowych, oddanych do dyspozycji władzom konserwatorskim. W latach od 1954 limity na te cele mieściły się w granicach od 280—300 tys. zł. i dopiero od czerwca 1956 r., w wyniku uchwały Rządu Nr 666 o likwidacji masowych zagruzowań i zniszczeń wojennych w mieście i na wsi zwiększono te kredyty do sumy około 1 mln zł.

Czy kredyty te są wystarczające do potrzeb ochrony zabytków? Może na ten temat zabierze głos Ministerstwo Kultury i rozwieje w ten sposób obawy społeczeństwa zielonogórskiego.

Irma Krzyżaniak (Zielona Góra)

11 LAT DZIAŁALNOŚCI WROCŁAWSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

„Celem Towarzystwa jest popieranie rozwoju nauki we wszystkich dziedzinach, zwłaszcza nauki na Śląsku i o Śląsku“.

(Z art. 2 Statutu Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego).

Przed jedenastu laty, w marcu 1946 r., powstało Wrocławskie Towarzystwo Naukowe. Z inicjatywą założycielską wystąpiła grupa 31 naukowców osiadłych we Wrocławiu, członków byłego Towarzystwa Naukowego we Lwowie, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego oraz Polskiej Akademii Umiejętności. Inauguracyjne publiczne zebranie Towarzystwa odbyło się 10 czerwca tegoż roku.

Z grona założycieli Towarzystwa działają nadal we Wrocławiu: Tadeusz Bigo, Iwo Jaworski, Andrzej Klisiecki, Bronisław Knaster, Antoni Knot, Helena Krzemieniewska, Ewa i Karol Maleczyńscy, Tadeusz Mikulski, Teofil Modelski, Bolesław Olszewicz, Leszek Ossowski, Gustaw Poluszyński, Stanisław Rospond, Eugeniusz Rybka, Kazimierz Sembrat, Kamil Stefko, Hugo Steinhaus, Wincenty Styś. Kilku przeniosło się do innych ośrodków naukowych. Kilku zabrała śmierć. Żałoba okrywała nie tylko Wrocław, gdy na cmentarzu odprowadzano uczonych tej miary, co Edward Bulanda, Ludwik Hirszfeld, Jerzy Kowalski, Eugeniusz Romer, Edward Sucharda.

Wrocławskie Towarzystwo Naukowe jest towarzystwem typu akademickiego. Członkami zwyczajnymi mogą być osoby wyróżniające się poważnym dorobkiem naukowym, działające na Śląsku lub zasłużone dla nauki na Śląsku. Członkami nadzwyczajnymi — pracownicy naukowcy wnoszący twórczy wkład w życie naukowe. Obecnie Towarzystwo liczy 166 członków zwyczajnych i nadzwyczajnych.

Towarzystwo zajmuje się:

- a) odbywaniem zebrań naukowych oraz urządzeniem konferencji i zjazdów naukowych,
- b) udzielaniem dotacji na badania naukowe,
- c) działalnością wydawniczą.

Poza tym na uwagę zasługuje prowadzona przez Towarzystwo wymiana wydawnictw z instytucjami naukowymi w kraju i za granicą.

Zebrania naukowe organizowane są przez poszczególne Wydziały i Komisje Towarzystwa. Do r. 1957 istniało 6 wydziałów:

Wydział I Nauk Filologicznych

Wydział II Nauk Historyczno-Filozoficznych

Wydział III Nauk Prawnych i Ekonomicznych (dawniej: Wydział III Nauk Społecznych)

Wydział IV Nauk Matematycznych i Przyrodniczych

Wydział V Nauk Lekarskich

Wydział VI Nauk Technicznych.

W r. 1957 powstał Wydział VII Nauk Rolniczych.

Z Komisji działają obecnie:

Komisja Historii Sztuki, Komisja Bibliografii i Bibliotekoznawstwa, Komisja Językowa oraz Komisja Dielektryków. Ponadto w br. postanowiono utworzyć jeszcze jedną Komisję, mianowicie międzywydziałową Komisję Słowianoznawstwa.

Na zebraniach naukowych Wydziałów i Komisji członkowie Towarzystwa przedstawiają prace naukowe własne lub innych autorów.

Prace członków Towarzystwa powstają w pracowniach istniejących poza Towarzystwem, przede wszystkim w zakładach szkół wyższych Wrocławia oraz wrocławskich filiach instytutów Polskiej Akademii Nauk — Towarzystwo bowiem nie posiada własnych pracowni naukowych. W zasadzie wszystkie poważniejsze prace naukowe, powstałe we wrocławskim ośrodku naukowym, dyskutowane były na zebraniach Towarzystwa, a ponadto trzeba tu wliczyć pewną ilość zebrań poświęconych omówieniu prac powstałych w innych środowiskach.

Od chwili powstania Towarzystwa w r. 1946 do końca maja br. zreferowano na Wydziałach i Komisjach łącznie 728 prac naukowych ze wszystkich dziedzin wiedzy.

Charakterystycznym rysem działalności naukowej Towarzystwa jest współdziałanie różnych dyscyplin nauki w rozwiązywaniu konkretnych problemów. Zainicjowane przez L. Hirszfelda badania nad dochodzeniem ojcostwa złączyły we wspólnej dyskusji biologów, matematyków i prawników. Badania W. Stysia nad rozwojem własności chłopskiej i jej związkami z rozwojem rodziny — ekonomistów, przyrodników i historyków. Rozważania nad długością krzywych empirycznych — matematyków i geografów. Badania grup krwi i ich konfliktów — biologów, klinicystów i matematyków. Wspólne zebrania Wydziałów nie są rzadkością w pracy Towarzystwa.

Zgodnie ze swoimi założeniami statutowymi, Towarzystwo wiele uwagi poświęca tematowi związanym ze Śląskiem. W filologii należą tu badania nad dialektem śląskim, w archeologii i prehistorii — wykopaliska na Sobótce, w historii — przeszłość Śląska, zarówno w epoce średniowiecza, jak i w czasach nowożytnych — w historii sztuki — zabytki Wrocławia, w naukowo-przyrodniczych — morfologia i klimat Śląska, wreszcie w naukach pomocniczych — bibliografia Śląska.

Poza zwykłymi zebraniem naukowymi w Wydziałach i Komisjach, Towarzystwo odbywa także ogólne zebrania naukowe. Zajmują się one upowszechnianiem wiedzy oraz aktualnymi problemami życia naukowego. Oto kilka tematów poruszonych na tych zebraniach: postawa nauk humanistycznych wobec współczesnych wielkich przemian społecznych, Wrocław jako ośrodek badań nad historią nowożytną Śląska, znaczenie odkrycia radu, problemy nowoczesnej kosmologii, współczesna sytuacja w mikrobiologii, aktualny stan badań nad filogenezą człowieka. Odczyty na te tematy były wygłoszone z okazji dorocznych zebrań i na specjalnych posiedzeniach publicznych.

Trzeba zauważyć, że w okresie 1951—1956 takich ogólnych zebrań nie było w ogóle. Po kilkuletniej przerwie pierwszym zebraniem ogólnym było publiczne po-

siedzenie naukowe Towarzystwa podczas tegorocznych Dni Wrocławia. W przyszłości Towarzystwo zamierza odbywać swoją doroczną sesję publiczną w okresie Dni Wrocławia.

Towarzystwo było także organizatorem i gospodarzem szeregu konferencji i zjazdów naukowych. W latach 1953 i 1954 odbyły się dwie konferencje naukowe Komisji Bibliografii i Bibliotekoznawstwa.

W r. 1955 odbyły się trzy imprezy tego charakteru. Mianowicie w ramach Dni Kultury i Nauki zorganizowano sesje uczelniane, podczas których wygłoszono następujące referaty:

na Uniwersytecie Wrocławskim — H. Steinhaus mówił o współpracy różnych nauk na przykładzie matematyki i jej roli w środowisku wrocławskim, na Politechnice Wrocławskiej — W. Trzebiatowski mówił o drogach rozwoju chemii nieorganicznej, w Wyższej Szkole Rolniczej — A. Wojtysiak mówił o zagadnieniach reorganizacji produkcji rolniczej na Dolnym Śląsku.

W tym samym okresie odbyła się sesja poświęcona sprawie odzyskania arrasów wawelskich i innych zabytków kultury narodowej, znajdujących się jeszcze za granicą.

Wreszcie w listopadzie 1955 r. Towarzystwo zorganizowało konferencję naukową, której tematem było zagadnienie izotopów. Referaty wygłosili wówczas: W. Trzebiatowski, T. Baranowski, Mościcki i Hurwic.

W kwietniu br. Towarzystwo zwołało do Wrocławia międzyśrodowiskową konferencję w sprawie organizacji wydawnictw dotyczących Śląska. Rezultatem tej konferencji było utworzenie komisji porozumiewawczej, w której zasiedli przedstawiciele środowiska wrocławskiego, opolskiego i katowickiego.

Wypada jeszcze zaznaczyć, że w smutnym dla nauki polskiej okresie lat 1950—56 również na terenie Towarzystwa dał się odczuć wyraźny spadek twórczej działalności w dziedzinie humanistyki, a nawet nastąpił pewien spadek aktywności w naukach ścisłych. Pomyślnie zmiany klimatu dla pracy naukowej, które zaznaczyły się już w początku 1956, odbyły się także w znacznym wzroście ilości przedstawianych na zebraniach Towarzystwa prac naukowych. Tak np. w dziedzinie nauk humanistycznych (wydziały I, II i III) przedstawiono w ub. roku dwukrotnie więcej prac niż w roku poprzednim. Także w roku bieżącym trwa wyraźne ożywienie w naukach humanistycznych, szczególnie w Wydziale Nauk Prawnych i Ekonomicznych poprzednio szczególnie mało aktywnym.

Drugim głównym kierunkiem prac Towarzystwa jest otaczanie opieką prac badawczych przez udzielanie środków finansowych na ich prowadzenie.

M. in. w latach 1948—53 Towarzystwo finansowało badania nad: dialektologią Śląską, tragikami klasycznymi, historią prawa narodów w Polsce, działalnością J. E. Purkyniego we Wrocławiu, bibliografią i ikonografią Śląska, zabytkami archeologicznymi Sobótki, hodowlą tkanek, grupami krwi, poronieniami, badania immunologicznymi i in. W tym samym okresie Towarzystwo doinwestowywało m. in. instytut zoologiczny, obserwatorium astronomiczne, pracownie medyczne. Ostatnio w okresie od czerwca ub. roku do maja roku bieżącego, Towarzystwo datowało prace wykopaliskowe w kościele NMP na Piasku oraz w pałacu biskupim we Wrocławiu, badania nad dawnym budownictwem drewnianym Opolszczyzny w ośrodkach wiejskich, prace wykopaliskowe na Olbinie we Wrocławiu, prace nad ukończeniem przygotowania do druku „Słownika topograficznego średniowiecznego Śląska” oraz prace o bibliotece Łukasza Opalińskiego, wykonywanie diagramów do pracy W. Stysia: Współzależność rozwoju rodziny chłopskiej i jej gospodarstwa, badania z dziedziny krążenia krwi i wydzielania nerek.

Łącznie w ciągu 11 lat istnienia Towarzystwa dotacje na badania naukowe wyniosły sumę przeszło 1 miliona złotych.

Trzecią zasadniczą dziedziną działalności Towarzystwa są jego wydawnictwa. Należą do nich przede wszystkim prace, które zostały przedstawione na zebraniach naukowych. Uchwała Wydziału stanowi wstępną decyzję o wydaniu drukiem danej pracy. Nad działalnością wydawniczą Towarzystwa czuwa specjalny Komitet Wydawniczy.

Wydawnictwa Towarzystwa obejmują następujące serie:

- 1) „Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego”, w różnych językach, przy czym seria A zawiera prace humanistyczne, seria B — prace z zakresu nauk ścisłych. Każda praca stanowi osobny tom, posiadający jednak numerację ciągłą.
- 2) „Sprawozdania Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego” w języku polskim, zawierają kronikę, streszczenia prac oraz drobne prace w całości.
- 3) „Comptes Rendus de la Société des Sciences et des Lettres de Wrocław” (obecnie: „Bulletin de la Société des Sciences et des Lettres de Wrocław”). Jest to odpowiednik obcojęzyczny części naukowej „Sprawozdań”.
- 4) „Śląskie Prace Bibliograficzne i Bibliotekoznawcze” (prace Komisji Bibliografii i Bibliotekoznawstwa).
- 5) „Prace Zakładu i Obserwatorium Meteorologii i Klimatologii Uniwersytetu Wrocławskiego”.

Ponadto w r. 1957 rozpoczęto wydawanie trzech nowych wydawnictw ciągłych. Są nimi:

„Archiwum Historyczne Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego”, „Rozprawy Komisji Językowej Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego”, „Rozprawy Komisji Historii Sztuki Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego”.

Poza wymienionymi seriami wydawane są również pojedyncze prace.

Łącznie w okresie od r. 1946 do maja 1957 r. Towarzystwo wydało 240 tytułów bibliograficznych ogólnej objętości przeszło 1.200 arkuszy drukarskich. W tym serii A ukazało się 55 prac, a serii B — 83.

W związku z działalnością wydawniczą Towarzystwa trzeba wspomnieć o sytuacji, jaka panuje obecnie na tym odcinku.

Mianowicie w r. 1950 Towarzystwo zostało pozbawione drukarni, która jego staraniem otrzymała w pierwszym okresie powojennym nowoczesne wyposażenie, umożliwiające jej wykonywanie najbardziej skomplikowanych druków. Drukarnia ta była początkowo zorganizowana na zasadach spółdzielczych i w tym czasie bardzo sprawnie wykonywała zamówienia wydawnicze Towarzystwa.

Z kolei w r. 1953 Towarzystwo zostało pozbawione prawa występowania w charakterze wydawcy, a funkcje te zostały przekazane Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu.

Towarzystwo zamierza zabiegać usilnie o odzyskanie — w takiej czy innej formie decydującego głosu — w procesie produkcyjnym własnych wydawnictw.

Swoistym aspektem działalności Towarzystwa jest wymiana wydawnictw, prowadzona na szeroką skalę z wieloma ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą.

Obecnie Towarzystwo utrzymuje kontakt poprzez wymianę wydawnictw ze 141 instytucjami naukowymi krajowymi oraz 881 za granicą, przy czym wśród odbiorców wydawnictw Towarzystwa są instytucje naukowe m. in. w Abisynii, Algerze, Australii, Chile, Indonezji, Izraelu, Kenii, Kolumbii, Madagaskarze, Sudanie, Tunisie — nie mówiąc naturalnie o takich państwach, jak Niemcy, Francja, Związek Radziecki, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy Włochy, z którymi kontakty są bardzo żywe.

Wydawnictwa otrzymywane z zagranicy w drodze wymiany Towarzystwo przekazuje zasadniczo Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu oraz bibliotekom specjalnym. Wrocławski ośrodek naukowy otrzymał w ciągu 11 lat istnienia Towa-

rzystwa, dzięki prowadzonej przez nie wymianie, ponad 24 tysiące publikacji naukowych.

Ponadto Towarzystwo posiada własny księgozbiór liczący kilka tysięcy tomów. Ostatnio przystąpiono do preselekcjonowania go, z założeniem, że biblioteka Towarzystwa zostanie ograniczona jedynie do wydawnictw potrzebnych redakcjom publikacji Towarzystwa. Pozostałe tomy zostaną przekazane bibliotekom zakładów i instytutów wyższych uczelni Wrocławia.

Obecny skład Zarządu Towarzystwa jest następujący:

prezes — prof. dr Hugo Steinhaus, wiceprezesi — prof. dr Edward Marczewski i prof. inż. Dionizy Smoleński, sekretarz generalny — prof. dr Witold Świda, zastępcy sekretarza generalnego — prof. dr Władysław Czapliński i prof. dr Tadeusz Marciniak.

W skład Zarządu wchodzi ponadto przewodniczący poszczególnych Wydziałów: Wydziału I — prof. dr Stanisław Rospond, Wydziału II — prof. dr Władysław Czapliński, Wydziału III — prof. dr Iwo Jaworski, Wydziału IV — prof. dr Bronisław Knaster, Wydziału V — prof. dr Edward Szczeklik, Wydziału VI — prof. dr Witold Romer, Wydziału VII — prof. dr Bolesław Świętochowski.

Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej jest prof. dr Antoni Falkiewicz, a Komitetu Wydawniczego prof. dr Witold Świda. Redaktorem serii A jest prof. dr Władysław Floryan, serii B — prof. dr Bronisław Knaster. Kierownikiem biura Towarzystwa jest dr K. Lewalski.

Wypada przypomnieć jeszcze, że do r. 1955 prezesem Towarzystwa był prof. dr Stanisław Kulczyński, sekretarzem generalnym prof. dr Bolesław Olszewicz. Odtąd prezesem jest prof. dr H. Steinhaus, a sekretarzem był najpierw prof. dr Dionizy Smoleński, następnie prof. dr Witold Świda. Wiceprezesem Towarzystwa był w swoim czasie ś.p. prof. dr Ludwik Hirsfeld.

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu działalności Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego w minionym 11-leciu warto zatrzymać się jeszcze chwilę nad miejscem, jakie Towarzystwo może i powinno zajmować w obecnej organizacji życia naukowego w kraju w nowym klimacie życia społecznego

W ośrodku tak różnorodnym i różnorodnym jak Wrocław, powstaje wiele interesujących i wartościowych pomysłów, zamierzeń i osiągnięć, które należy poddawać dyskusji na miejscu. Wydaje się więc, że tym potrzebom doskonale odpowiada taka forma organizacyjna, jaką jest towarzystwo naukowe, żywo reagujące na tętno życia naukowego swojego środowiska.

Wrocławskie Towarzystwo Naukowe bierze przeto na siebie rolę istotnego uzupełnienia wobec centralnej organizacji nauki, ma ambicję podtrzymywać to, co się określa jako klimat naukowy, a więc stałą, żywą wymianę myśli i poczynań. Zebrania Wydziałów i Komisji, w których uczestniczą nieraz młodzi pracownicy nauki czy bodaj nawet zaawansowani studenci wyższych lat, taką właśnie funkcję spełniają bardzo dobrze. Zebrania Towarzystwa stają się w tych warunkach rzeczywistym sprawdzianem rezultatów twórczej pracy naukowej oraz terenem bieżących dyskusji danego środowiska.

Pozwolę sobie na koniec zacytować, za referatem sprawozdawczym sekretarza generalnego Towarzystwa prof. dra W. Świdy — wygłoszonym na publicznym zebraniu naukowym w dniu 7 maja br. — słowa pierwszego prezesa Towarzystwa prof. dra Stanisława Kulczyńskiego z r. 1948:

„Towarzystwo ... rozpoczęło swoją działalność we Wrocławiu w momencie, kiedy na ziemi dolnośląskiej rozpoczynało kiełkować życie polskie wdeptane wielowiekową przemocą w ziemię. W pochodzie pracy polskiej, kultury i mowy polskiej na zachód nie mogło brakować ani myśli naukowej polskiej, ani jej widocznego wyrazu w drukowanym słowie. Zadanie to Towarzystwo spełniło z powodzeniem.

W solidarnym ogólnonarodowym wysiłku odbudowy Ziemi Zachodnich Towarzystwo i nauka polska zajęły własne godne miejsce obok wysiłku szerokich mas podnoszących z ruiny przemysł i zaorywujących tutejsze ugory”¹.

Ignacy Rutkiewicz (Wrocław)

ZAPOMNIANE UZDROWISKA

To tutaj w 1854 r. dr Brehmer założył pierwsze na świecie sanatorium przeciwgruźlicze. To tutaj od przeszło stu lat zjeżdżali pacjenci chorzy na płuca. I nie musiało być to złe uzdrowisko, skoro od przeszło stu lat cieszyło się jak najlepszą sławą. Posiadało ono jak najlepsze warunki do leczenia gruźlicy płuc, skoro przebywali tu na kuracji najwięksi niemieccy literaci, poeci, artyści. To pewnie tylko, że przed wojną uzdrowisko w Sokołowsku miało charakter ekskluzywny, a po wojnie miało stać się potężnym ośrodkiem leczniczym, otwartym dla wszystkich ludzi pracy.

Sokołowsko, położone w pięknej kotlinie między górami wałbrzyskimi, miało wspaniałe warunki po temu, aby stać się jednym z najlepszych ośrodków leczenia gruźlicy płuc w Polsce. Zanim jednak przejdziemy do sedna sprawy, jeszcze dwa cytaty. Jeden z „Encyklopedii powszechnej” Orgelbranda, wydanej w roku 1900 w Warszawie, a drugi z przewodnika po Sudetach, wydanego parę lat temu.

W „Encyklopedii” szukamy hasła „Goerbersdorf”, gdyż tak ongiś nazywało się Sokołowsko, i czytamy co następuje: „Goerbersdorf, leży w prowincji rejencji Wrocławskiej, w dolinie gór Waldenburskich, 561 m nad poz. morza, posiada zakład hydropatyczny i dwa zakłady dla chorych na płuca; zaleca się zarówno warunkami klimatycznymi, jak i dobrymi urządzeniami”.

Przewodnik podaje: „Sokołowsko jest to dawne (podkreślenie moje — W.S.) zdrojowisko, osłonięte z wszystkich stron od wiatru, położone w przepięknym jarze. Nazwę swą zawdzięcza polskiemu lekarzowi, dr Sokołowskiemu, który w ubiegłym stuleciu przeprowadzał tu badania naukowe nad chorobami płuc. Okolice Sokołowska posiada szczególne właściwości lecznicze dzięki powietrzu obfitującemu w ozon...”

Wydaje się, że opis niemieckiego uzdrowiska w polskiej encyklopedii stanowi podstawę do stwierdzenia, iż Sokołowsko, nazywane podówczas jeszcze Goerbersdorfem, kiedy znajdowało się w państwie niemieckim, znane było poza jego granicami. Dziś, kiedy tereny te odzyskała Polska — znane jest poza granicami już polskiego państwa. Oto redakcje pism angielskich zwróciły się niedawno z zapytaniem, czy ta piękna miejscowość ma nadal charakter uzdrowiskowo-sanatoryjny. Nie znam treści odpowiedzi, ale obawiam się, że gdyby tak na odpowiedź twierdzącą zjechał do Sokołowska jakiś cudzoziemiec, zachęcony przedwojenną sławą uzdrowiska, to mógłby się rozczarować. Wbrew bowiem autorowi przewodnika uzdrowisko dla chorych na gruźlicę płuc nadal istnieje w tej miejscowości. Istnieje — ale w jakim stanie?

Gdy w stulecie założenia Sokołowska odbywał się tu w 1954 r. Krajowy Zjazd Lekarzy-Ftyzjatrów, uzdrowisko mogło się poszczycić jakim takim wyglądem i jakimi takimi osiągnięciami leczniczymi. Umyślnie piszę „jakim takim”, gdyż wygląd tego miasteczka przeciwgruźliczego zupełnie już nie przypominał czasów przedwojennej świetności, a osiągnięcia lecznicze miejscowych sanatoriów były stosunkowo niewielkie. Ale od tego czasu zmieniło się w Sokołowsku wiele — na gorsze.

Lata 1950—1953 to okres, kiedy Sokołowsko niewiele się różniło jako ośrodek leczniczy od innych sanatoriów polskich. Około 800 pacjentów i pacjentek miało od-

¹ Korespondencję opracowano na podstawie sprawozdania sekretarza generalnego WTN z działalności Towarzystwa, wygłoszonego na publicznym zebraniu naukowym w dn. 7 maja oraz sprawozdania Zarządu WTN za okres od 1 VI 1956 r. do 15 V 1957 r., wygłoszonego na zebraniu administracyjnym w dn. 25 V 1957 r.

powiednią opiekę lekarską i pielęgnarską, odremontowane pawilony lśniły czystością, w uruchomionym po generalnym remoncie ogromnym pawilonie sanatoryjnym, „Grunwaldzie”, czynna była sala operacyjna, czynny był dobrze wyposażony jak na nasze warunki gabinet rentgenologiczny, lekarzy było w dostatecznej ilości... Samym ośrodkiem interesował się doskonały chirurg i naukowiec, odznaczony nagrodą państwową, prof. dr Wiktor Bross, wykonujący w Sokołowsku szereg operacji torako-chirurgicznych. W sanatoriach przeprowadzano duże i skomplikowane operacje, przywracające zdrowie ludziom, uznanym nieraz za „chorych nieuleczalnie”. Optymista mógłby się spodziewać, że nastaną czasy, gdy Sokołowsko wróci do dawnej świetności.

Niestety, Sokołowsko nie tylko nie odzyskało swej dawnej świetności, ale przeżyło swój upadek i zostało doprowadzone do marnego stanu.

Złe i powierzchownie dokonany remont największego sokołowskiego sanatorium, „Grunwaldu”, nie wytrzymał próby czasu i dzisiaj gmach, w którym mogłoby leczyć się ponad 250 chorych, nie jest w ogóle wykorzystany i wali się. Niezabezpieczenie i zła konserwacja domów mieszkalnych i tych pawilonów, które po remoncie nadawałyby się na sanatoria, spowodowały, że zdewastowane obiekty albo same się zawaliły, albo trzeba je było rozebrać. Salę operacyjną i gabinet rentgenowski trzeba było zamknąć.

Na skutek atmosfery, jaka przez zmienianie co parę miesięcy dyrektora wytworzyła się w Sokołowsku, odeszli z tamtejszego zespołu sanatoriów doświadczeni lekarze-specjaliści, zrezygnowały z pracy pielęgniarki wykwalifikowane, z długoletnią praktyką... I dopiero dzisiaj sytuacja ta ulega zmianie.

W imieniu czekających na operację

Pacjentka niecierpliwie przemierza długi korytarz sanatoryjny. Wreszcie uchylają się drzwi gabinetu lekarskiego. Przyjazne spojrzenia ludzi w białych fartuchach trochę ośmielają, ale nie są w stanie zniweczyć niepokoju. Decyzja lekarska brzmi: „Konieczny zabieg chirurgiczny...”.

A więc jednak... Trzeba iść na stół operacyjny. Przez dłuższy czas lekarze tłumaczą pacjentce B. S. konieczność operacji, pokazują zdjęcia rentgenowskie, objaśniają. Spokojne słowa lekarzy czynią wreszcie kolejną wyrwę w lęku i niepewności. Młoda kobieta uśmiecha się blado i pyta:

— To... kiedy będzie ta operacja?

— Ano, chyba za pół roku...

Pół roku — szmat czasu! Dlaczego tak długo trzeba czekać na operację? Przecież sanatorium w Sokołowsku posiadało własną salę operacyjną i odbywały się tu mniejsze i duże zabiegi chirurgiczne, które przywróciły zdrowie setkom ludzi, chorych na gruźlicę. Przecież okres przygotowania do zabiegu chirurgicznego wynosi kilka tygodni, a w najgorszym razie 2—3 miesiące. Więc czemu trzeba czekać tak długo?

Bo w Sokołowsku zlikwidowano tzw. „dużą chirurgię”. Ogromne sanatorium „Grunwald” stoi nieczynne, a zestaw narzędzi chirurgicznych wywieziono do sanatorium w Bukowcu. Gdybyż tam one na coś się przydały, ale leżą nieużywane, gdyż oddział chirurgiczny bukowieckiego sanatorium ma własne, inne narzędzia. Nieprze-myślana decyzja Ministerstwa Zdrowia pozbawiła Sokołowsko i leczących się tu 800 pacjentów możliwości korzystania z zabiegów chirurgicznych.

Sytuacja taka odbija się wybitnie niekorzystnie na kuracjuszach, którzy często po 3—4 miesiącach przygotowań do operacji rezygnują z niej chwilowo i wracają do pracy. Sytuacja taka jest bardzo niewskazana, gdyż każda taka przerwa w leczeniu i powrót do pracy oznacza konieczność powtórnego przygotowywania do zabiegu, nowe badania i nie tylko przedłuża, ale także utrudnia zwalczanie choroby.

Wyjście z tego błędnego koła jest tylko jedno: w Sokołowsku trzeba uruchomić nieczynny obecnie pawilon „Grunwald” i stworzyć warunki do przeprowadzenia na miejscu operacji torako-chirurgicznych.

Stosowany w tej chwili system przesyłania na operację do sanatorium w Bukowcu i innych zakładów przeciwgruźliczych nie zdaje egzaminu, gdyż chorzy muszą bardzo długo czekać na swoją „kolejkę”, a miejsc na oddziałach chirurgicznych gruźlicy płuc jest bardzo mało.

I właśnie teraz nadarzałaby się możliwość uruchomienia oddziału chirurgicznego w Sokołowsku oraz oddania nieczynnego pawilonu „Grunwald” dla pacjentów. Zniszczenia tego budynku obliczono mniej więcej na 30 procent, a koszt jego remontu na przeszło 4 miliony złotych. Z pewnością jest to duża suma, ale wziąć należy pod uwagę, że po remoncie w „Grunwaldzie” będzie mogło pomieścić się około 250 chorych i że znajdują tam pomieszczenia: sala operacyjna, oddział chirurgiczny, gabinety lekarskie, gabinety rentgenowskie, świetlice, kuchnia i jadalnia.

Najważniejsze jest jednak to, że dyrekcja Zespołu Sanatoriów podejmuje się wyremontować „Grunwald” własną ekipą remontową kosztem około dwóch milionów złotych. Koncepcja o tyle warta zastanowienia, że jej realizacja pozwoliłaby zaoszczędzić blisko dwa miliony złotych i pozwoliłaby na uruchomienie w Sokołowsku „dużej chirurgii”.

Do Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu wystosowano już wnioszek w tej sprawie z konkretnymi propozycjami, a sumę potrzebną na remont „Grunwaldu” wstawiono już do budżetu. Budżet nie został jeszcze zatwierdzony, ale wydaje się, że słuszna sprawa oddania chorym „Grunwaldu” powinna zwyciężyć i pieniądze na ten cel się znajdują. Gdy budżet zostanie zatwierdzony, dyrekcja sokołowskich sanatoriów przystąpi do tworzenia brygady remontowej i do pierwszych prac związanych z uruchomieniem „Grunwaldu”.

Przez okres zimowy można by wykonać nowe okna, drzwi i całą „stolarkę”, a wiosną przyszłego roku przystąpić do generalnego remontu pawilonu. I tak w ciągu półtora roku można by uruchomić około 250 nowych miejsc w uzdrowisku i udostępnić chorym możliwość operacji chirurgicznych.

Co jeszcze przemawia za uruchomieniem oddziału chirurgicznego w sokołowskim uzdrowisku? Otóż Sokołowsko jest oddalone od Wałbrzycha zaledwie o 15 kilometrów. Wałbrzych jest dużym ośrodkiem węglowym, liczącym ponad 100.000 mieszkańców, z których duży procent choruje na gruźlicę płuc. Około 7.500 mieszkańców Wałbrzycha choruje na gruźlicę, a z tego 1200 prątkuje, co setny mieszkaniec Wałbrzycha ma otwartą gruźlicę płuc. Ludzie ci nieraz całymi latami czekają na operacje torako-chirurgiczne, a uruchomienie „Grunwaldu” w Sokołowsku i w nim oddziału chirurgicznego rozwiązałoby ten problem radykalnie, gdyż wszyscy mieszkańcy Wałbrzycha mogliby się poddać operacjom w pobliskim Sokołowsku.

Z kadrami lekarskimi dla nowo uruchomionego oddziału chirurgicznego nie byłoby zapewne kłopotu, gdyż wielu zdolnych chirurgów chciałoby w Sokołowsku wykonywać operacje, a stałą pieczę nad nimi mieliby znani chirurdzy wrocławscy, profesorowie: Wiktor Bross i Tadeusz Garbiński. Najwięcej kłopotu będzie z funduszami na remont, ale piszemy o tej sprawie mając nadzieję, że budżet na remont „Grunwaldu” zostanie zatwierdzony. Piszemy w imieniu setek chorych, czekających na operacje, które mogą przywrócić im zdrowie i zdolność do pracy.

„Zapomnianemu” Sokołowsku trzeba przywrócić utracone „dobre imię”

O Sokołowsku, jako o poważnym ośrodku leczniczym i uzdrowisku o światowej sławie, zapomniano już kilka lat temu. Nic dziwnego, że nastąpił stąd „exodus” lekarzy, którzy opuszczali ten „świat zabity deskami”. W Sokołowsku pozostali

tylko najbardziej ofiarni lekarze, młodzi i pełni zapału, którzy obecnie pod dyktando doktora Stanisława Domina, chcą naprawić błędy poczynione przez minione dwunastolecie. Niewielu zresztą jest tych lekarzy, gdyż na 800 pacjentów i 25 etatów lekarskich — jest ich tylko 13, czyli połowa tego, co być powinna. „Norma” Ministerstwa Zdrowia przewiduje 1 lekarza na 30—36 pacjentów. Jak daleko od teorii odbiega sokołowska praktyka, łatwo wyliczyć.

Nasuwa się tu jeszcze jedna ważna sprawa — remontów, bez których Sokołowsko podupadać będzie jeszcze bardziej. Otóż sanatoria i uzdrowiska winny otrzymać na bieżące remonty subwencje w wysokości proporcjonalnej do wartości posiadanych obiektów. Przyjmując rocznie „limitowy” jeden procent zniszczenia, Sokołowsko powinno otrzymywać co roku około półtora miliona zł na bieżące remonty. Od dziesięciu lat sokołowskie uzdrowisko nie otrzymuje takiej sumy. „Kąpięta” co jakiś czas kwota mieściła się mniej więcej w granicach pięciokrotnie mniejszych.

Podobnie jest zresztą i z remontami kapitalnymi. Nie ma za co remontować. A do generalnych remontów nadaje się cały szereg budynków... W ubiegłym roku to „miasteczko sanatoryjne” otrzymało na kapitalne remonty niewiele ponad pół miliona złotych, podczas gdy potrzeba rocznie na ten cel funduszy dziesięciokrotnie wyższych.

Nie znaczy to jednak, aby nie się w Sokołowsku na lepsze nie zmieniło. Obecnie wszystkie tzw. „znaki na niebie i ziemi” wskazują, że dyrekcja uzdrowiska wykazuje dużo troski o przywrócenie Sokołowsku utraconego „dobrego imienia”. Nowa, „odmłodzona” w ostatnim czasie dyrekcja Zespołu Sanatoriów energicznie zabrała się do pracy i oto są już pierwsze wyniki.

Kończy się remont reprezentacyjnego sanatorium „Chrobry”, które nie było remontowane od lat kilkudziesięciu, jest na ukończeniu również remont dużego pawilonu dla pracowników sanatoryjnych „Korona”, wyremontowano dom sanatoryjny przy ul. Głównej 5. Dobiaża końca odnowienie zaniedbanych przez kilkanaście lat parków uzdrowiskowych — w tym roku oddano do użytku park przy sanatorium „Biały Orzeł”, gdzie odnowiono ścieżki, wyremontowano mostki, uregulowano potoki i uruchomiono fontannę, a w projekcie jest odnowienie jesienią parku przy sanatorium „Różanka”. Na ogrody i parki przy innych pawilonach przyjdzie kolej w przyszłym roku.

Oczyszczono ulice, uprzęta się gruzy, uruchomiono ogródek jordanowski dla dzieci niedaleko sanatorium „Górnik”, a prace melioracyjne przy głównym potoku, przepływającym przez Sokołowsko, przyczynią się do jego oczyszczenia i uregulowania.

Uzdrowisko będzie posiadać własną piekarnię, której uruchomienie pozwoli na zaoszczędzenie rocznie około 80.000 zł. Rzecz jasna, poprawi się w ten sposób żywienie kuracjuszy, gdyż można będzie zaoszczędzone fundusze przeznaczyć na zakup innych produktów.

Rzeczą pocieszającą są pewne zmiany w Sokołowsku na lepsze. Ale wszystko to niestety jest tylko przysłowiową „kroplą w morzu”. Kilkuletnia skandaliczna gospodarka i niewłaściwe metody doprowadziły to miasteczko sanatoryjne do stanu, w którym rzeczywiście pomoc mogą tylko jakieś radykalne posunięcia i poważne dotacje finansowe. A wydaje się, że czas już najwyższy, aby „przypomniano” sobie o Sokołowsku, które chce odzyskać „dobrą sławę”, ale bez funduszy, koniecznych do usunięcia zaniedbań, nie będzie mogło tego przeprowadzić.

Wydaje się również celowe ponowne odremontowanie największego i najstarszego sanatorium w Sokołowsku, pawilonu „Grunwald”, który przy obecnym spełnieniu sanatoriów przeciwgruźliczych stoi bezużytecznie. I chyba celowe będzie

zwrócenie zestawu narzędzi chirurgicznych oraz otwarcie podwojów sali operacyjnej, zlikwidowanej zarządzeniem Ministerstwa Zdrowia.

Z cytowanych na wstępie fragmentów „Encyklopedii” i przewodnika, z pytań redakcji angielskich czasopism i z przedwojennej „dobrej sławy” Sokołowska wynika, że uzdrowisko mogłoby służyć nie tylko nam — kto wie, czy po „odnowieniu” Sokołowska nie cieszyłoby się ono dużą frekwencją chorych na gruźlicę płuc ozdodziemców... Można by dla niech przeznaczyć np. dwa reprezentacyjne pawilony — „Chrobry” i (po wyremontowaniu) „Grunwald”... Kto wie, czy włożone w „ocnowę” Sokołowska — konieczną zresztą i dla naszych pacjentów — pieniądze nie wróciłyby do kraju w dewizach...

Europejskie znaczenie i sława tego uzdrowiska oraz zainteresowanie, jakim jeszcze dzisiaj cieszy się ono poza granicami naszego kraju — to duży atut w naszych rękach. Atut do wykorzystania.

Ale to raczej melodia przyszłości. Na razie trzeba Sokołowską przywrócić do takiego stanu, aby odzyskała ono utraconą rangę prawdziwego uzdrowiska i aby lokalne przewodniki nie pisały o nim jako o dawnym, byłym uzdrowisku. To jest nakazem bieżącej chwili.

Czy słuszna decyzja?

Długopole-Zdrój jeszcze do ubiegłego roku służyło jako miejscowość lecznicza. Szczawy alkaliczne ze źródeł: „Emilia”, „Eliza” i „Renata” niczym nie ustępowały krynickim, a bogate zioła borowiny pozwalały na stosowanie licznych kąpielii i okładów. Uzyskiwano tu doskonale wyniki leczenia schorzeń serca, reumatyzmu, wyczerpania nerwowego i chorób kobiecych.

Nic więc dziwnego, że prawie 300 łóżek sanatoryjnych było miesiąc w miesiąc zajętych. Kuracjusze chętnie przyjeżdżali do uzdrowiska, wiedząc, że pobyt tutaj działa wybitnie dodatnio na ich schorzenia. Ale oto w roku ubiegłym Centralny Zarząd Uzdrowisk zdecydował o zmianie profilu sanatoryjnego. Zamiast reumatyzmu, chorób serca i schorzeń kobiecych uzdrowisko ma leczyć rekonwalescentów po zapaleniu wątroby.

Czy ta decyzja jest słuszna? Chyba nie, bo obecnie całe leczenie ogranicza się z grubsza biorąc do diety i spokoju, do czego przecież nie są potrzebne ani wody mineralne, ani borowina. Tak samo można by leczyć niekoniecznie w znanym dotychczas uzdrowisku i zdrojowisku. A ponieważ ani borowina, ani wody mineralne nie są teraz wykorzystywane — Długopole utraciło swoją rangę uzdrowiskową i zaliczyć je można do rzędu zapomnianych uzdrowisk. Kto bowiem dzisiaj słyszy o Długopolu?

I chociaż w ostatnim czasie przystąpiono do rozbudowy uzdrowiska, gdyż otrzymano wreszcie po długich staraniach kredyty na remont zakładu przyrodoleczniczego i domu zdrojowego, to trudno będzie znowu postawić Długopole w jednym rzędzie z takim np. Świeradowem.

Nasuwa się tu jeszcze jedna sprawa w związku z Długopolem-Zdrojem. Otóż kilkanaście domów Funduszu Wczasów Pracowniczych wyjętych jest tu spod kompetencji zarządu uzdrowiska. A tymczasem domy te FWP wykorzystuje zaledwie przez 2—3 miesiące w roku. Na skierowanie do sanatorium kuracjusze czekają nieraz całymi miesiącami, tak mało jest miejsc w uzdrowiskach. I dlatego puste przez

* W ostatnim czasie władze wojewódzkie doszły do porozumienia z dyrekcją Zespołu Sanatoriów i na miejscu uznały za słuszne nasze postulaty. Kierownik Wydziału Zdrowia wrocławskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, dr Tuzinkiewicz, z całym zrozumieniem ustosunkował się do sprawy przywrócenia Sokołowsku dawnego znaczenia leczniczego i przyrzekł odpowiednie dotacje finansowe. Mamy nadzieję, że dzięki nim Sokołowsko odzyska wreszcie swoje dawne „dobre imię“.

9—10 miesięcy domy FWP należałoby przekazać dyrekcji uzdrowiska, która mogłaby wówczas mieć o 300 miejsc sanatoryjnych więcej.

Czy to się uda — nie wiadomo. Zbyt wiele czynników ma tu prawo decyzji i sprzeciwów, ale wydaje się, że takie wyjście byłoby i najprostsze, i najkorzystniejsze tak dla ludzi chorych, którzy całymi miesiącami muszą czekać na skierowania, jak i dla samego uzdrowiska.

Obecnie dyrekcja zdrojowiska dąży do usunięcia braków i niedociągnięć, na które uskarżają się chorzy. Remont domu zdrojowego i urządzeń leczniczych — to pierwsze kroki na drodze do postawienia długopolskiego uzdrowiska na właściwym poziomie. Ale jest jeszcze rzecz najważniejsza — trzeba, aby Długopole użyło swój dawniejszy profil leczniczy, aby mogli się nadal leczyć tu reumatycy i ludzie ze schorzeniami sercowymi, gdyż im właśnie pobyt w Długopolu bardzo pomagał.

W Czerniawie-Zdroju

Między Gryfowem a Świeradowem-Zdrojem znajduje się mała stacyjka kolejowa, Krobica. Znają ją nieliczni wczasowicze i chorzy, przyjeżdżający do pobliskiej Czerniawy-Zdroju. Czerniawa znana była niegdyś ze źródeł szczawy ziemno-żelazistej oraz skutecznego leczenia chorób kobiecych, niedokrwistości, stanów wyczerpania, chorób serca i reumatyzmu.

Jeszcze kilka lat temu Czerniawa była znanym uzdrowiskiem. Dzisiaj nie ma swego dawnego znaczenia, a przyczyniło się do tego w dużej mierze ogromne zaniedbanie i zniszczenie tej pięknej miejscowości. Zdewastowano tu szereg urządzeń leczniczych i „przestawiono” zdrojowisko na miejscowość wczasową. Fundusz Wczasów Pracowniczych posiada w Czerniawie-Zdroju wiele domów wypoczynkowych, ale i tu, podobnie jak w Długopolu, nie są one należycie wykorzystane. Celowym więc byłoby i tu oddanie domów FWP zarządowi uzdrowiska, gdyż w ten sposób można by powiększyć ilość miejsc dla kuracjuszy.

Obecnie do Czerniawy na leczenie kierowane są przede wszystkim dzieci w wieku szkolnym, ale zastanowić się warto, czy nie należałoby udostępnić Czerniawy znowu dorosłym kuracjom, cierpiącym na reumatyzm, niedokrwistość i schorzenia serca.

Czerniawę cechuje piękne położenie między lesistymi ramionami szczytów Stogu Izerskiego i Smreka (1107 i 1123 m npm) i szkoda, aby to uroczo położone uzdrowisko było nadal zapomniane.

Opolno — wieś czy uzdrowisko?

Tablica przy szosie głosi, iż wjeżdża się na teren „wsi Opolno, gromada Opolno, powiat Zgorzelec”. A więc wieś. Ale wygląd miejscowości, parki, domy o charakterze pensjonatowym i zakłady kąpielowe świadczą, że kiedyś była to miejscowość wypoczynkowo-uzdrowiskowa.

Kiedyś był tu piękny basen kąpielowy, 4 źródła wód mineralnych, zawierających siarkę i żelazo, oraz zapasy regenerowanej borowiny. A dzisiaj — drzwi zakładów kąpielowych są zabite deskami, na borowinie rośnie dzika plantacja leszczyny, a alejki i stawy w parkach pełne są śmieci. Dzisiaj nikt nie dba o to zapomniane uzdrowisko. Nikt — to byłaby może przesada. Sami mieszkańcy Opolna starają się, aby ta miejscowość odzyskała swój dawny uzdrowiskowy charakter.

Oto przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej był w Centralnym Zarządzie Uzdrowisk na konferencji w sprawie nieczynnych uzdrowisk. Podał wówczas do wiadomości publicznej, że w Opolnie jest 130 pokoiów zdalnych do natychmiastowego użytku, a około 100 wymaga niewielkiego remontu, że w zakładach zdrojowych można uruchomić 52 wanny, a w pensjonatach —30...

Na razie jednak nic nie widać, aby CZU czynił coś, żeby przywrócić Opolnu utraconą rangę uzdrowiska. Istnieje inny projekt, oto aby pensjonaty i domy zdrojowe zamienić na mieszkania. Ale co zrobić z wannami? Przecież nikt nie będzie mieszkał w pokojach z wpuszczanymi w posadzkę wannami kafelkowymi. Jest więc projekt, aby te wanny zamurować, zacementować... czyli zatrzeć jeszcze ostatnie ślady tego, że kiedyś Opolno było zdrojowiskiem. A nie było zdrojowiskiem złym, bo jego mieszkańcy pamiętają, jak jeszcze sześć lat temu przywożono tu „pokreconych” reumatyzmem ludzi na noszach, ci sami zaś kuracjusze odjeżdżali z Opolna już o własnych siłach.

Każdy, kto przyjedzie do Opolna, nie może oprzeć się wrażeniu, że marnuje się tu dobro społeczne i urzędzenia, które mogłyby państwu przynosić korzyść, a ludziom chorym — zdrowie.

Biała plama na mapie

Pociąg z Jeleniej Góry dojeżdża tylko do Szklarskiej Poręby. Dalej tory prowadzą w nieznaną. Z mapy bowiem wynika, że dalej, na południe nie ma już żadnego osiedla, nie ma domów. Na mapie widnieje biała plama.

A jednak istnieje tam osiedla. Wymieńmy kilka z nich: Tkacze Górne i Dolne, Jakuszec, Orle, Zieleniec... Mało kto z mieszkańców powiatu jeleniogórskiego wie o ich istnieniu. Oprócz żołnierzy ze służby granicznej nikt tutaj nie zagląda. Ale my zajrzyjmy.

Tkacze Górne. Na tle opustoszałych domów stoi czerwona tablica z białym wyraźnym napisem: Polska. Obok tablicy leniwie płynie Izera. Po drugiej stronie rzeki już Czechosłowacja.

Kto raz był w Tkaczach, pięknie położonych na łagodnym leśnym stoku górskim, ten z całą pewnością przyzna, że mało jest równie uroczych zakątków w naszym kraju. Doskonałe nasłonecznienie, piękny krajobraz i bezwietrzny klimat tych terenów położonych na przełęczy między Karkonoszami a Górami Izerskimi, stwarzają wymarzone warunki do odpoczynku. Toteż powstała tu miejscowość o charakterze wczasowo-uzdrowiskowym. Stacja kolejowa w centrum Tkaczy ułatwiała komunikację i zaopatrzenie, odchodziły stąd pociągi elektryczne do Wrocławia, a kilkadziesiąt domów wypoczynkowych, willi, pensjonatów i hoteli zachęcało do przyjazdu.

Wojna oszczędziła Tkacze. Można tam było założyć prewentoria i sanatoria (było kilkanaście domów z ogromnymi werandami), można było zasiedlić okolice ludźmi, którzy by zajęli się hodowlą. Domy były nie zniszczone, przez dłuższy czas stały w nich nawet meble. Ale zgodnie z poleceniem władz Tkacze i okoliczne miejscowości odcięto od świata.

Ponieważ tak Tkacze, jak Orle, Jakuszec i Zieleniec nie miały zostać zamieszkane, znaleźli się amatorzy na rozbiórkę domów. Ministerstwo Gospodarki Komunalnej i Wojewódzka Rada Narodowa wydały zezwolenie na rozbiórkę szeregu domów w tych miejscowościach. Dzisiaj jest już to rzecz nie do odrobienia. Rozebranych i wywiezionych domów nikt na miejsce z powrotem nie przywiezie. Ale warto pomyśleć o tym, co jeszcze zostało.

Zarówno w Tkaczach, jak w Orlu i Jakuszczu stoi jeszcze wiele domów mieszkalnych, willi, jest nawet gospoda z parkietową podłogą, gospoda, którą kiedyś zamieniono na stajnię. Wizja lokalna wymienionych miejscowości wykazuje, że można tu jeszcze odbudować i uruchomić małe uzdrowisko. Przedstawiciele Powiatowej Rady Narodowej w Jeleniej Górze na ogół niechętnie o tym myślą. Nic dziwnego, to oni przecież jako gospodarze tego terenu są odpowiedzialni za dewastację tych pięknych miejscowości. Nie czas jednak dzisiaj na gorączkowe szukanie winnych.

Warto tylko zastanowić się nad koncepcją uruchomienia tu jakiegoś ośrodka wczasowo-uzdrowiskowego i nad przywróceniem komunikacji w te strony.

Zamiast białej plamy na mapie powinny tu wykwitnąć nazwy osiedli uzdrowiskowych, do których mogliby zjeżdżać na wypoczynek kuracjusze z całego kraju.

„Pomyłka” Ministerstwa Zdrowia w Jedlinie-Zdroju

Woda ze źródła „Szarlotty” w Jedlinie była przez kilka lat po wojnie znana w naszym kraju. Była również znana na wiele lat przed wojną. Wodę mineralną w Jedlinie, zwanej podówczas Charlottenbrunn, odkryto w r. 1724. Dzieła tego dokonał Jan Christian Thoss wraz ze swym lekarzem nadwornym. Zbudowano tu wówczas studnię, nazywając ją „Studnią Szarlotty”, gdyż takie imię nosiła piękna ponoć żona Jana Thossa.

Od tego czasu datuje się niezwykła kariera „Studni Szarlotty”, z której woda leczyła anemię, choroby serca, schorzenia dróg oddechowych i ułatwiała trawienie. Napływający tu ze wszystkich stron Europy goście zamienili w ciągu dwustu lat małą górską wioskę w reprezentacyjny „kurort”.

Po „źródle Szarlotty” wykryto inne, którego wody leczyły skutecznie schorzenia nerek i dróg moczowych. Wybudowano kilka hoteli, restauracji, sanatoria, schroniska turystyczne i prawie 40 komfortowo wyposażonych pensjonatów, specjalnie dla gości zagranicznych. Jedlina-Zdrój stawała się znaną dolnośląską miejscowością uzdrowiskową.

„Kurort” bogacił się z każdym rokiem. Kuracjusze mogli przed wojną korzystać ze specjalnych kąpielii igliwiowych, solankowych, kwasowęglowych, parafinowych i borowinowych oraz mieli do dyspozycji tzw. „czterokomorówki” z kąpielami tlenowo-elektrycznymi.

W pierwszych latach po wojnie Jedlina-Zdrój jeszcze egzystowała. Nie przypominała ona jednak dawnego, kwitnącego „kurortu”. Szabrownicy i nieumiejna gospodarka zrobiły swoje. Hotele, kawiarnie i restauracje pozamykano, a pensjonaty zamieniono na domy mieszkalne. Istniało jeszcze sanatorium. Ale tylko do r. 1953. Wtedy to bowiem za aplauzem Ministerstwa Zdrowia Centralny Zarząd Uzdrowisk załadował na samochody urządzenia sanatoryjne i wywiózł. Zapewne w ramach „centralizacji”. Jedlina-Zdrój jako uzdrowisko zakończyła swój żywot. Dodajmy, że podcinano nawet rury wodociągowe, doprowadzające wodę do luksusowo urządzonej niegdyś łaźni. Wywieziono i zniszczono cenną aparaturę. A pijalnie wód zabito deskami.

W tym miejscu przypomina się wiersz Gałczyńskiego, skierowany do mieszkańców małych miasteczek. Oto jego fragment:

„A u was deską świat zabity,
głuchy i niemy.
To nic.
Za rok, za parę lat
odbijemy...”

A warto odbić deskami zabite uzdrowisko w Jedlinie. Warto tym bardziej, że Centralny Zarząd Uzdrowisk oświadczył, iż wraz z Ministerstwem Zdrowia „pomylił się” w twierdzeniu, jakoby woda mineralna z Jedliny Zdroju nie nadawała się do picia. Drogo, bardzo drogo kosztowała owa „pomyłka” słynną niegdyś na cały świat, a obecnie zdewastowaną miejscowość zdrojową.

Pociąg pośpieszny, przejeżdżający z Wałbrzycha przez stację w Jedlinie-Zdroju, nie zatrzymuje się tutaj. Bo i rzeczywiście — po co?

Nowych kuracjuszy przecież nie przywiezie.

Może „za rok, za parę lat” wówczas, gdy Jedlina zostanie „odbita”...

Oby to „odbijanie” trwało jak najkrócej.

O co chodzi?

Sieć czynnych zdrojowisk jest w naszym kraju w stosunku do zasobów bardzo rzadka. W małym stopniu wykorzystujemy wody lecznicze. Poza zdrojowiskami czynnymi o ustalonej już „marce” istnieje wiele „zapomnianych” uzdrowisk i na nie właśnie chcielibyśmy zwrócić uwagę. W niektórych zapomnianych zdrojowiskach z każdym rokiem duże ilości wód mineralnych odpływają bezużytecznie.

A na ten bezużyteczny odpływ wód leczniczych nie powinniśmy patrzeć bez troski. Właściwe bowiem ujęcie tych źródeł i odpowiednie ich wykorzystanie może przynieść ogromne korzyści lecznictwu. Zużytkowanie wód mineralnych może mieć charakter dwojaki: jako surowca dla produkcji wysokowartościowych wód mineralnych — butelkowanych i sprzedawanych w różnych częściach kraju oraz bezpośrednio w lecznictwie na miejscu — w uzdrowisku.

W „zapomnianych” i zaniedbanych uzdrowiskach wody mineralne są często stosowane przez miejscową ludność według własnych „wskazań”, opartych częstokroć na doświadczeniu wielu pokoleń. Mieszkańcy tych zdrojowisk używają wód mineralnych do picia i do kąpieli. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, gdyż balneologia rozwinęła się przecież z odwiecznego wycucia i obserwowania przez człowieka zdrowotnych własności wód mineralnych.

W 1952 r. Instytut Geologiczny wystąpił, z inicjatywy dra C. Kolago, do Ministerstwa Zdrowia z pomysłem tworzenia lokalnych punktów zdrojowych, wskazując miejsca, gdzie w pierwszym rzędzie należałoby to zrobić. Obecne ożywienie w dziedzinie balneologii zmusza do zastanowienia się nad „zapomnianymi” uzdrowiskami i zdrojowiskami, w których po prostu marnują się miliony złotych przez niewykorzystanie wód mineralnych, że przypomnimy wspomniane już źródła w Długopolu.

Znamienną dla naszych zaniedbań „zdrojowiskowych” jest też sprawa źródeł wód mineralnych koło Bolkowa. Otóż źródła te znajdują się w oddaleniu niespełna dwóch kilometrów od miasta i mimo tak niewielkiej odległości nikt się nimi nie interesuje. Zwrócili uwagę na owe źródła dziennikarze prasy wrocławskiej na łamach „Słowa Polskiego” i „Gazety Robotniczej”, a także skierował swe zainteresowanie w ich stronę jeden z przedsiębiorczych mieszkańców Bolkowa i zwrócił się do władz z projektem eksploatacji źródeł na własną rękę.

Bolkowskie wody mineralne — to źródła szczawia alkaaliczno-glauberskiej, które można polecić na atonię kiszek, schorzenia woreczka żółciowego, choroby żołądka i wątroby oraz na wadliwą przemianę materii. Nie są to nowe wskazania lekarskie. Źródła te były wykorzystywane do celów leczniczych przed wojną, a nawet eksportowano butelkowaną wodę z nich za granicę, np. do Anglii.

Źródła mineralne koło Bolkowa w obecnym stanie są stosunkowo mało wydajne, ale jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż gdyby rozpoczęto dodatkowe wiercenia, wydajność wody bolkowskiej mogłaby znacznie wzrosnąć. Przecież np. w pobliskim Szczawnie-Zdroju wody mineralne „Dąbrówki” i „Mieszka” mają aż 48 ujęć, a źródła bolkowskie nie zostały jeszcze zbadane.

Warto w ogóle na problem naszych wód mineralnych i zapomnianych uzdrowisk spojrzeć tak jak ów przedsiębiorczy mieszkaniec Bolkowa, nie tylko od strony społecznej, ale także od strony handlowej. Np. ze starego prospektu, reklamującego Jedlinę-Zdrój, można się dowiedzieć nie tylko o historii i wartościach leczniczych uzdrowiska, ale można poznać ceny za wszystkie usługi, jakie w uzdrowisku świadczone kuracjom. W prospekcie tym znajduje się opis pensjonatów z dokładnym wyliczeniem wszystkich udogodnień dla kuracjuszy, *nota bene* przybywających w większości z zagranicy. Przyjeżdżali tu goście z Ameryki, Kanady, Anglii, Belgii i Holandii. Właściciele pensjonatów otrzymywali marki, a dolary i funty szterlingów zostawały w bankach niemieckich.

Z prospektu „Baerland Schlesien” można się dowiedzieć, że na Dolnym Śląsku było przed wojną 19 miejscowości uzdrowiskowych z 32 sanatoriami, 1136 pensjonatami i 92 hotelami. Gdyby tylko część tych pomieszczeń odpowiednio przygotować, byłyby one w stanie przyjąć corocznie około 10.000 kuracjuszy z zagranicy,

Należy przypuszczać, że zysk z tego byłby niemały, gdyby bowiem każdy kuracjusz przebywał np. miesiąc i płacił według ustalonych stawek około 10 dolarów dziennie, uzyskalibyśmy w ten sposób około 3 milionów dolarów rocznie. Dodać warto, że aby uzyskać taką sumę dewiz, górnicy jednej z naszych kopalni węgla muszą ciężko pracować przez pół roku. Nasze uzdrowiska mogą więc nam w dewizach przynieść duże dochody. Ale na to muszą być oczywiście odpowiednio przygotowane.

W tej chwili nie można niewątpliwie myśleć o sprowadzaniu gości z zagranicy do opisanych wyżej „zapomnianych” uzdrowisk, które w pierwszym rzędzie udostępnić należy polskim kuracjuszom. Ale należałoby się może poważnie zastanowić nad udostępnieniem gościom zagranicznym naszych bardziej reprezentacyjnych uzdrowisk dolnośląskich.

Wojciech Staszewski (Szklarska Poręba)